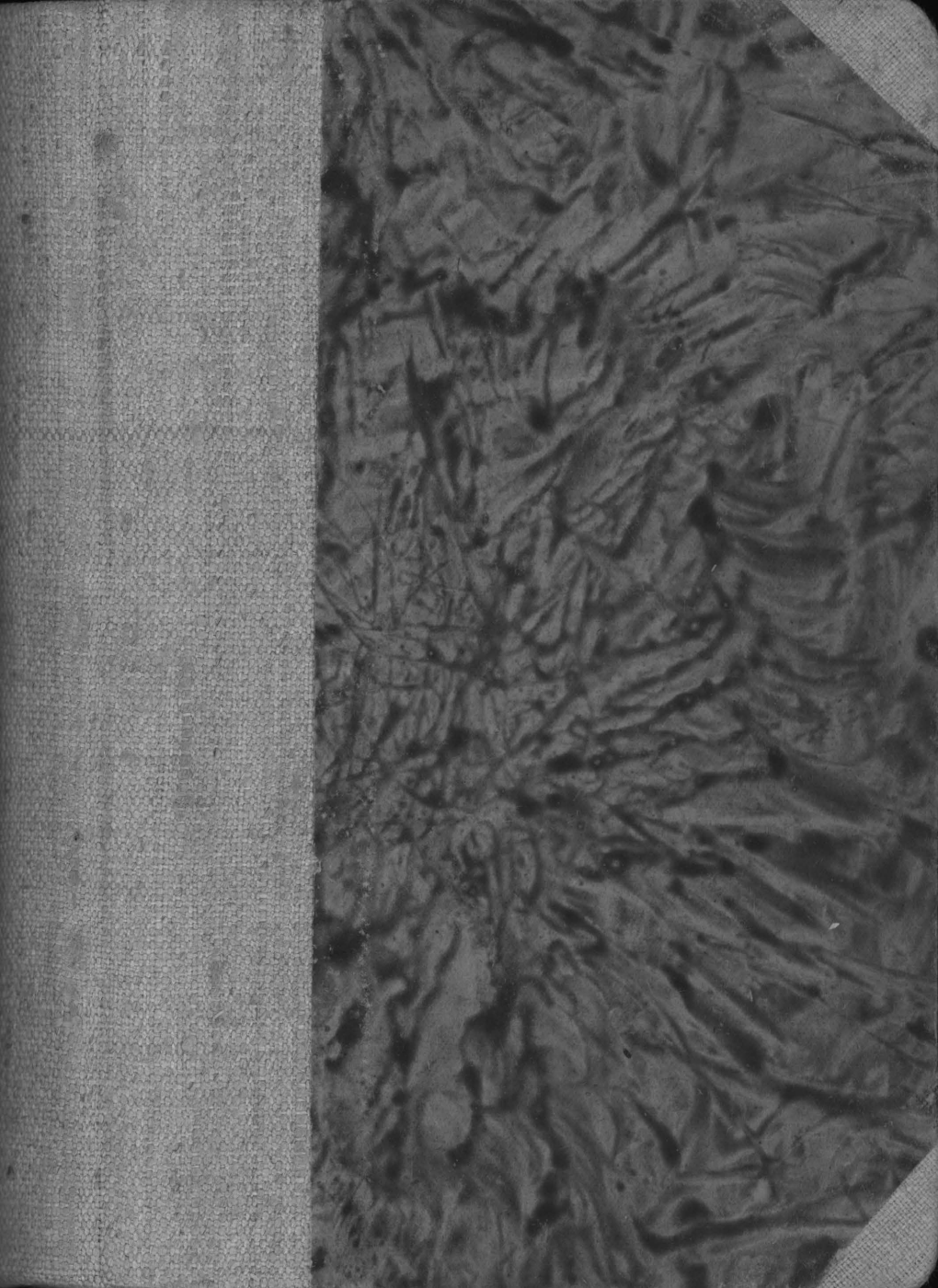




ROBESPIERRE

I JEGO WSPÓŁCZESNI.

Z pamiętnika księżny d'Abrantés, damy z dworu
z czasów I Cesarstwa.

Tłómaczyła

Aniela Barthel de Weidenthal.

Biblioteka Dzieł Wyborowych
WARSZAWA

Druk L. Bogusławskiego, Świętokrzyska № 11



S
Miejska Biblioteka Publiczna
5884

Białystok

840-312.6

ROBESPIERRE M.

K.

R.M. 7 228.4.45

I.

Ogólny pogląd na epokę rewolucyjną.

Jedną z najoryginalniejszych cech naszej Rewolucyi jest ta, że pomimo wszelkich okropności, jakie w ciągu jej trwania popełniano, a nawet i po 9-tym thermidorze, to jest dniu śmierci Robespierre'a—rządy Konwencji i komitetów bezpieczeństwa, przez niego wprowadzone, byłyby trwałe i nadal—może jeszcze bardzo długo—gdyby w ich łono nie była się wkradła niezgoda.

Ta wada natury ludzkiej dowiodła, że, bądź co bądź, członkowie tych instytucji są ludźmi jednakże, jakkolwiek—z wyjątkiem powierzchowności—mieli oni wszystkie cechy krwiożerczych zwierząt. Tak więc słabość i wady natury ludzkiej—stały się naszym ratunkiem!

Żaden z ludzi, wchodzących w skład komitetów nie był naprawdę człowiekiem wyższym, nie tylko już jako charakter, ale choćby tylko jako inteligencya. Zrozumieli oni jedynie: że system terrorystyczny, raz wprowadzony i ugruntowany,

wystarczał, aby prowadzić kraj cały po drodze, jaką mu wytknęli—pod warunkiem ślepego posłuszeństwa i milczenia—grozą wymuszonego.

O to—co dalsza przyszłość przyniesie, nie troszczyli się zupełnie, gdyż nie pragnęli oni budować, ale niszczyć—a to jest zawsze łatwiejsze!

Dla cpanowania ciemnych mas, stanowiących ich siłę, stosowali oni trzy środki, które ich nigdy nie zawiodły: *głód, obfitość papierowej monety*, a raczej rzadkość rzeczywistych pieniędzy i *entuzjazm*, jaki wzbudzały zwycięstwa naszych wojsk i w ogóle całe ich zachowanie. Asygnotami zaspakajano lud, gdy stawał się zbyt niespokojnym, a ponieważ w kraju miały one kurs przymusowy, zatem tłum—nie pytając o rzeczywistą ich wartość—jadł, pił i bawił się—zapominając o wszystkim innym. Panem et circenses!

Pozatem—głodem go straszono—a chwałą upajano! Jeśli czasami lud próbował się opierać jakiemuś rozporządzeniu rządu, np. poborowi rekruta—ten ogłaszał publicznie wieść o jakimś nowem zwycięstwie—a wszystkie szemrania milkły natychmiast i młodzież biegła chętnie pod sztandary, aby mieć także swoją część w sławie, otaczającej naszą armię. A chociaż po przybyciu do obozu zobaczyli tam owych wymarzonych bohaterów bez chleba, bez butów i bez ubrania—nie zniechęcało ich to jednak—sława starczyła za wszystko—i szli naprzód—ciągle naprzód—nawet... po usłyszeniu słynnego „porządku dziennego” Raffeta.

Ten „porządek dzienny” była to prześliczna litografia Raffeta, przedstawiająca grupę żołnierzy,

otaczających starego sierżanta, któremu pokazują swoje dziurawe buty i saboty, tłómacząc mu widocznie, że tak dalej iść nie mogą, gdyż Raffet kładzie w jego usta słowa, podpisane u dołu obrazu: „Reprezentant narodu powiedział: „mając chleb i żelazo można iść nawet do Chin—o butach nie wspominał”... W głębi obrazu widać owych reprezentantów, których kilku zawsze było przydzielonych do armii.

Sam Robespierre nie był zdolniejszy od reszty swoich kolegów, miał tylko dar powzięcia inicjatywy i ujarznienia swego otoczenia... Miałam sposobność mówić z kilkoma osobami z Arras, które znały go dobrze i oddawna—jeszcze za lat dziecinnych;—a wszystkie godziły się na jedno, twierdząc: że był to chłopiec dziwnie brzydki, o cerze bladej, ziemistej—poznaczonej zielonkawemi, mocno wydatnemi żyłami; o wzroku fałszywym i uciekającym, co nadawało mu wstrętny wygląd.

Od dzieciństwa także okazywał zawiść i głułą złość względem każdego, kogo natura obficie od niego uposażyła; że zaś takich było bardzo dużo—czuł zatem nienawiść do wszystkich ludzi.

Później—gdy został czasowym panem Francji—utrzymywali niektórzy, że ma uśmiech dowcipny i inteligentny; ale tylko zaślepienie, lub pochlebstwo mogło uznawać za uśmiech ten złośliwie-sarkastyczny grymas, który zdawał się przyrośnięty do jego wąskich, bezkrwistych warg.

Wykształcenie Robespierre’a nader było powierzchowne; ograniczało się ono do małej więz-

ki wiadomości ogólnych i kilku idei, zaczerpniętych i przyswojonych sobie z książek, jakie czytał w czasie swego pobytu w szkołach. Będąc jednak ambitnym, a przytem hipokrytą, potrafił on znakomicie swoje braki ukrywać—insynuując głęboką wiedzę.

Stawiono nieraz szeroko jego skromność i umiarkowanie, przytaczając jako dowód, że w czasie najwyższej swej potęgi, gdy był wszechwładnym panem Francji, żył jednak jako zwykły członek Konwencji—tej samej Konwencji, z której grona własnowolnie naznaczał prawdziwych przewodników państwa t. j. członków „komitetów bezpieczeństwa”, i „komitetów ocalenia publicznego”.

Skromność ta jednak była tylko pozą, jak tego dowiodło dalsze jego postępowanie — pozą, pod którą kryły się do czasu najambitniejsze plany i zamiary. A nawet i w owym czasie, pomimo, że umiał znakomicie panować nad sobą — bystry obserwator byłby mógł odkryć łatwo w twarzy jego uczucie zadowolonej miłości własnej i pychy, z jaką prezydował u stołu w czasie obiadów przez siebie wydawanych, na których zbierali się wszyscy wybitniejsi, ludzie tej krwawej epoki, czy to mówcy i pisarze, czy artyści.

Nie stawić się na zaproszenie — byłoby to, narazić się na śmierć nieuniknioną. Groza i przerażenie opanowały wszystkie umysły; nikt nie mógł być pewnym życia i bezpieczeństwa — ani swego, ani swoich najbliższych. Zależało ono w zupełności od kaprysu kilkunastu osobników.

Ale przytem nakazano „być szczęśliwym”, śmiać się i weselić, bo nadeszły czasy wolności

i swobody! Śmiano się zatem i bawiono z wszelkimi pozorami szczęścia i zadowolenia. Ludziom, mającym córki dorosłe, nakazywano przyprowadzać je dla brania udziału w tak nazwanych „uroczystościach narodowych”—a w rzeczywistości—bachanaliach ulicznych; a gdy która z nich zwróciła swym wdziękiem dziewiczym (ku własnemu nieszczęściu) uwagę którego z bohaterów rzezi więziennych, dość mu było powiedzieć: „Ja chcę ją posiadać”—i decemwirowie wolności dawali mu ją, nie bacząc na jej zdanie w tym względzie!

Takie stało się życie towarzyskie we Francji w czasach tak zwanej wolności, swobody i braterstwa!

Pani de Staël, zapalona zwolenniczka nowych prądów, była pierwszą z kobiet, która, stanawszy na czele partii rewolucyjnej, pod jej sztandarem otworzyła swój salon o mocnem zabarwieniu politycznem.

Trwało to jednak bardzo krótko. Przerazona ohydными scenami w dniach 10 go sierpnia i 2 go września (rzezie więzienne), zamknęła dom i sama wyjechała z Paryża.

Po jej wyjeździe berło tego, w swoim rodzaju, królowania, przeszło do rąk pani Roland, jedynej kobiety, jaka po wyjeździe pani de Staël zdolna była do utworzenia i utrzymania takiego ogniska życia towarzyskiego.

Nie powiem, abym podzielała zasady i przekonania pani Roland; ale czyż znaleźćby można duszę prawdziwie francuską, któraby nie skłoniła czoła wobec odwagi tej bohaterskiej kobiety? i serce—któreby się nie wzruszyło cierpieniami,

jakich ona doznała jako żona, matka i obywatelka?... Każda z nas dumną być powinna, że należy do tej samej plci, co ta dzielna siostra Żyrondy, której życie było tak czyste i cnotliwe — a śmierć tak pełna pobożnej i bohaterskiej rezygnacji!

Była ona godną tego imienia — przyjaciółką ofiar z dnia 31-go maja, których pamięć przekazała potomnym i opromieniła swem wzniosłym oburzeniem.

Oburzenie to objawiała głośno i wyraźnie, bez względu jak straszne ściąga na siebie niebezpieczeństwo; to też szafot, na którym skończyła w 37-ym roku życia, stał się dla niej prawdziwym tronem chwały!

Ówczesni panowie, a raczej katowie Francji, zrozumieli wtedy wyraźnie, że obawa nie znajdzie przystępu do tej bohaterskiej duszy i... zadrżeli! Zresztą przekonali się jasno, jak wielki jest jej wpływ, nawet na ciemny motłoch — co tem większem groziło im niebezpieczeństwem.

Za dowód jej wpływu może posłużyć fakt następujący: Pewnego dnia, a była to już jedynasta w nocy, znajdowała się ona sama w gmachu ministerium spraw wewnętrznych, gdyż mąż jej udał się na posiedzenie do jednego z kolegów. Nagle kilkuset rozwścieczonych ludzi otacza dom cały, wchodzi na podwórze z zapalonymi pochodniami i, klnąc straszliwie, żąda natychmiastowego zobaczenia się z ministrem Rolandem. „Czegóż od niego chcecie?” — zapytuje odważna kobieta, wychodząc do nich sama i bezbronna, po wydaniu uprzednio służbie rozkazu, aby pozosta-

wiono wszystkie drzwi otworem i aby jej nikt nie towarzyszył; — „czego tutaj szukacie?”

— Broni! — powiedziano nam, że broń tutaj się znajduje — i żądamy — aby nam wydana została!

— Gdyby była, dałabym ją wam, ale jej tu niema. Ministerium p. Rolanda nie wymaga żadnych specjalnych uzbrojeń. Gdyby on sam potrzebował broni dla obrony Ojczyzny, toby jej zażądał z pewnością; ale dotąd nie znajdował się jeszcze w tem położeniu, zatem powtarzam wam raz jeszcze, że broni tutaj niema! Zresztą, jeżeli mi nie wierzycie, to szukajcie sami, a ja towarzyszyć wam będę w poszukiwaniach.

Poczem sama, bez okazania najmniejszej trwogi, lub wahania — oprowadza ten pijany motłoch po całym gmachu ministerialnym, nie opuszczając żadnego kąta. Ludzie ci, z początku tylko zadziwieni jej zimną krwią i spokojem, po pewnym czasie uczuli się zawstydzeni i onieśmieni i — oddalili się wkrótce, nie zrządziwszy żadnej szkody w mieszkaniu.

A przecież przybyli oni z zamiarem zamordowania Rolanda!

Po rozejściu się tłumu, pani Roland — truchlejąc o życie męża, pobiegła sama po niego do ministerium marynarki i przyprowadziła go do domu.

Ten fakt przekonał ostatecznie decemwirów z 93-go roku, jak wielki jest wpływ pani Roland i śmierć jej została nieodzownie zdecydowana. Wstrzymywano się tylko czas jakiś z wykonaniem powyższego postanowienia, wyczekując jakiejś sposobności, jakiegoś pozoru!

A nawet bywano u niej; — ona zaś, prowadząc lekką salonową rozmowę, lub dyskutując w kwestiach politycznych z Dantonem, Robespierrem i innymi, których uważała za swoich przyjaciół i przyjaciół wolności — nie przypuszczała, że podlega pewnego rodzaju badaniu i że słowa, mówione w zaufaniu, posłużą kiedyś do aktu oskarżenia.

Wreszcie nadeszła rzeź Żyrondy, a w ślad za nią i jej skazanie!

Pomiędzy zbrodniami, w jakie tak obfitował rząd terrorystyczny, śmierć pani Roland była może najhaniebniejszą.

Po tej nowej ofierze, Paryż stał się jednym wielkiem polem śmierci, na którym tylko rozlegały się od czasu do czasu okrzyki pijanego motłochu, lub jęki mordowanych ofiar. O dziewiątej wieczorem gasły wszystkie światła i zalegało głucho milczenie, gdyż obawiano się wszystkiego, co by mogło ściągnąć uwagę krwiożerczych tygrysów, rządzących Francją.

Czyżby kto dzisiaj dał wiarę, że jakaś niewinna melodia na fortepianie, nie w porę zagrana, lub nawet zwykła lekcja muzyki, może być powodem śmierci na szafocie? W ten sposób zginęły np. dwie siostry, panny de Saint-Léger, jedna 16-to, druga 17-to letnia, które skazano na śmierć, ponieważ grały na fortepianie w dniu zdobycia Valenciennes, o którym, notabene, wiedzieć jeszcze nie mogły, gdyż wiadomości o klęskach zwykle dość długo przed publicznością tajono.

Nawet po śmierci rodziców płakać, ani nosić

żałoby nie było wolno. Wszelkie lzy i smutek były mocno podejrzane.

Rząd terrorystyczny jest rządem absolutnego despotyzmu i to najwstrętniejszego ze wszystkich, bo ugruntowanego na poniżeniu godności człowieka.

Ulegamy — słuchamy, — ale nie z powodu uwielbienia, miłości, lub w imię jakiejś zasady; — tylko ze strachu przed więzieniem, lub śmiercią. Milczenie i spokój, z jakim śmierć przyjmowana bywa — to nie pogoda, lub nadzieja większego szczęścia, jak było u pierwszych chrześcian, tylko przygnębienie i rozpaczliwa apatia. To też dziwne naiwni, czy zaślepieni, są ci wszyscy, którzy, przeżywszy rok 93-ci, nazywali Republikę rządami wolności i swobody.

Były to też same bezwzględne rządy, jak w czasach najstraszliwszego feudalizmu; nie pozbyto się — tylko zmieniono pana, a zamiana ta wypadła tem gorzej, im mniej kulturalny był nowy pan od dawnego.

Komitety bezpieczeństwa niczego się też tak nie obawiały, jak wolności prasy i ograniczyły ją do możliwych, a raczej niemożliwych granic.

Życie towarzyskie zostało zupełnie zniszczone; w całym Paryżu nie można było spotkać jednego prywatnego ekwipażu, a ubieranie służby w liberyę było zbrodnią, za którą można było głową przypłacić.

Kto tylko miał jeszcze coś do stracenia, opuszczał Paryż, udając się za granicę, lub w os-

tateczności na prowincję, aby jak najmniej zwracać na siebie uwagi.

Z chwilą zapadnięcia wieczoru każdy chrocił się do domu, drżąc, czy czasem sen jego nie zostanie przerwany aresztowaniem, kończącym się zwykle śmiercią, zadawaną często bez uprzedniego oznajmienia za jaką właściwie winę umierać nam przychodzi; gdyż taką winą był np. fakt, że się jest córką, synem lub siostrą kogoś, na wygnaniu się znajdującego.

I ci ludzie śmieli utrzymywać, że występują w obronie rodziny! Co więcej, braterstwo ogólne zostało z urzędu nakazane. Wszyscy byli bracia i siostry — najszlachetniejsze, najczystsze dzieci i ostatnie wyrzutki społeczeństwa; — co jednak tym ostatnim nie przeszkadzało bynajmniej obedrzyć, lub zamordować „siostry“, gdy im taka przyszła fantazyja!

Jakieś dziwne, okrutne szaleństwo opanowało umysły ludzi, zkałdiną światłych, a nawet szlachetnych i zacnych; — i doprawdy, byłoby to nader ciekawe studium dla jakiegoś psychologa, patrzącego z boku na to, co się dzieje.

Moralność, prawa, spokój rodzinnego ogniska zastąpione zostały przez jakieś dziwne teorie, dowodzące pewnej niepoczytalności umysłowej. Czyby np. dzisiaj dał kto wiarę, że została prawem uchwalona nagroda w kwocie 500 franków dla „młodej dziewczyny, która, nie będąc zamężną, da jednak obrońców Ojczyźnie“.

Zatem prawe i nieprawe urodzenie nietylko zostało zrównane, co by jeszcze jakoś usprawiedliwić można, ale małżeństwo zostało poniżone na

rzecz rozpusty; występki otrzymywał nagrodę której odmawiano cnocie.

Na asygnatach drukowano wyrazy: „Czwarta część dla donosiciela“, zachęcając tym sposobem do szpiegostwa i denuncjacji.

Elegancja i staranność w ubraniu były mocno podejrzane; mężczyźni zatem ubierali się, jak robotnicy, a kobiety jak przekupki, lub robotnice.

Nazwy ulic przemieniono tak, jakby zatrzeć chciano całą przeszłość Francji. Zdarzało się, że gdy ktoś po dłuższej nieobecności przyjechał do Paryża, trudno mu było zorientować się na razie; zapytawszy zaś o adres pod dawną nazwą — ryzykował denuncjację i, co najmniej, więzienie, jeżeli nie śmierć.

I ludzie nawet, jakgdyby wstydząc się swoich ojców — poodrzucali dawne nazwiska i imiona, przybierając natomiast imiona ze starożytności. Namnożyło się zatem Brutusów i Cezarów, nawet Tarkwiniuszów i Sullów, przybranych dla fantazyi lub wspaniałego brzmienia, bez żadnej znajomości historii, co nieraz nader komiczne sprawiało wrażenie.

Matka moja np., wróciwszy po śmierci Robespierre'a do Paryża mieszkała na „ulicy Prawa“ (dawna Richelieu), w kamienicy, w której portyer miał syna o imionach: Marat-Just-Naród. Chrestnym ojcem, to jest świadkiem w merostwie tego dziecka był Saint-Just. Teatry stały się miejscem, gdzie rzadko kiedy szanująca się kobieta uczęszczać mogła; przedstawiano bowiem sztuki, tak zwane „rewolucyjne“, robione na obstalunek, i według danych z góry wskazówek, w których

zohydzano wszystko, cośmy się kochać i szanować nauczyli.

Często nawet gilotyna ukazywała się na scenie. Przed rozpoczęciem widowiska śpiewano chórem Marsylianę, ostatnią zwrotkę na klęczkach — i biada temu, kto by się chciał z tego wylamać; a na zakończenie jeden z aktorów odczytywał listę ofiar, tego dnia straconych, poczem intonował piosenkę o gilotynie, której refrain wszyscy powtarzać musieli. Często bywały przedstawienia bezpłatne, które obwieszczano wielkimi afiszami, zaczynającymi się od słów: „W imię i dla ludu — władcy“.

Biedny ludzie, czegoż bo nie robiono w owym czasie w twoim imieniu!

Wyższe i średnie zakłady naukowe, tak męskie, jak i żeńskie, zostały zamknięte; pozostawiono tylko szkoły elementarne, ale i tam nauka udzielana bywała w ten sposób, że matki, dbające o duszę i charakter dziecka, wołały nie posyłać je do nich wcale.

Śmierć stała się prawdziwą i jedyną władczynią Francji; zadawano ją za każdy czyn, jaki człowiek popełnić może: za występki i za cnotę; za powodzenie i za niepowodzenie. I tak naprz. wygrał jakiś generał bitwę i zyskał sławę — mordowano go z obawy zbytnej popularności; przegrał ją — skazywano go na śmierć za nieudolność. Był ktoś smutny, milczący — stawał się podejrzany; ale i wesołość budziła obawy i posądzenia. Należało być nijakim, zatrzeć się niejako — zniknąć jako indywidualność — aby niczem nie wyróżniać się z tłumu.

Sama nawet śmierć naturalna, ze starości czy choroby, a raczej przed i pośmiertne chwile, obwarowane były przepisami. Dzwonienie zostało zakazane; modlitwa duchownego przy ciele była przestępstwem, za które nie było dość surowej kary. Ciało musiało być wyniesione z domu śmierci przezznaczonych do tego sużeńników, rodzinie jednak nie wolno było towarzyszyć trumnie.

Lzy surowo były wzbronione — jakżeż to można płakać po ojcu lub matce, gdy Francja stała się Republiką! Ale i wesołość, uśmiech nie były od lez szczęśliwszel — Wszakżeż p. Galley skazany został za żart, wypowiedziany w pewnem towarzystwie, a powtórzony ówczesnym władzom. Powiedział on mianowicie: „Myślę, że nawet Rousseau i Voltaire, gdyby żyli obecnie, zrobiliby znajomość z gilotyną”. Rousseau, gdyż powiedział kiedyś, że gdyby rewolucję jedną kroplą krwi okupić trzeba było, to i tak byłoby jeszcze za drogo... a Voltaire za słowa: że najgorszymi z rządów, są rządy... kanali!

Ludzie, pragnący usprawiedliwić tę straszną epokę, powiadają nieraz, że w żadnej innej nie było tak małej ilości prywatnych przestępstw kryminalnych. Ależ, wielki Boże! Na cóż miano mordować w cieniu, z narażeniem się na walkę z napadniętym i odpowiedzialność sądową, gdy wszyscy bandyci i zdegenerowane natury znajdowały ujście dla swych krwiożerczych instynktów w mordach publicznych i nakazanych, za które ich jeszcze nagradzano i honorowano. Rabunki także nie były potrzebne, gdyż dla ujęcia sobie motło-

chu rozrzucano całemi masami asygnaty, w celu wywoływania lub tłumienia rozruchów.

Pewnego dnia Danton powiedział do ówczesnego mera miasta Paryża:

— Potrzeba mi na jutro rozruchów.

— Niepodobna, obywatelu, nie mam pieniędzy.

— Masz tu 300,000 franków, myślę, że będzie dosyć.

I nazajutrz Paryż stał się widownią rozruchów w najlepszym gatunku.

Tym razem udano się do kobiet i one tak dobrze wywiązały się z zadania, że odtąd im zawsze dawano pierwszeństwo w razie potrzeby.

Nic też dziwnego, że fortuny rosły z piorunującą szybkością i na miejsce dawnych ludzi pomordowanych, lub wygnanych zjawiali się nowi. Dzisiaj są oni otoczeni ogólnem uznaniem i szacunkiem, lepiej jednak nie zgłębiać zbyt pilnie ich przeszłości.

Zdarzało się, że odprawileś lokaja, z którego byłeś niezadowolony, a po jakichś dwóch lub trzech miesiącach zjawiał się on u ciebie jako gość w pięknym ekwipażu, zaprzężniętym w czystej krwi rumaki i z bezczelnością prosił cię o rękę córki o ile ją miałeś.

Typowy pod tym względem jest fakt, który tu poniżej przytoczę: W domu, zamieszkanym przez Robespierre'a, przy ulicy Saint-Honoré, portyerem był biedny szewc, którego żona utrzymywała porządek w mieszkaniu dyktatora. Pewnego dnia rzekł on do tej kobiety: „Idź, zawołaj do mnie twego męża.”

Zawołany mąż zjawil się niebawem, śladami i drżący.

— Czego chcesz odemnie, obywatelu? — zapytał z obawą.

— Weź ten papier, podpisz go i idź do ministra wojny; jest to oferta na dostarczenie 600,000 par butów dla armii.

— Ależ, obywatelu, żartujesz chyba ze mnie, przecież, choćbym żył tak długo jak Matuzalem, jeszczebym takiej ilości butów zrobić nie zdołał.

— A pocóż masz je robić, potrójny głupcze, każesz je zrobić—i dostawisz.

Uszczęśliwiony szewc zabrał papier, kazał go podpisać żonie, bo sam tej sztuki nie posiadał—i dostawę dostał. Zarobił na niej dobrze, został więc przedsiębiorcą budowlanym i dorobił się olbrzymiej fortuny. Krótco się nią jednak cieszył, bo własni robotnicy, wyzyskiwani i maltretowani przez niego, przygotowali go o śmierć, podpłiwawszy rusztowanie budującej się kamienicy, którą miał zwiedzać.

Większość dzisiejszych fortun powstała z takich dostaw dla armii, oddawanych zwykle swoim poplecznikom.

Co to obchodziło dyktatora, że żołnierze chodzili boso, bo po pierwszym deszczu podeszwy odpadały. Dostawca płacił za parę po trzy franki, a ministerium wypłacało po 6, 7 i 10, i wszystko było w porządku.

Dzisiaj nikt ani zapyta, z czego powstała ta, lub owa fortuna, owszem, potomkowie zacnych rodzin nie wahają się łączyć z ich dziećmi. Za dowód, że twierdzenie moje nie jest przesadzone

posłużyć może małżeństwo księcia Tarentu z panną Saint-Didier.

Więzienia były jedynym miejscem, gdzie panowała jeszcze wesołość i swoboda umysłu, wolna od obawy, bo bać się już nie miano czego, gdy śmierć przestała przerażać.

Tam prowadzono rozmowy, przypominające dawną elegancję i wytworność wysłowienia, z jakiej słynęliśmy w całej Europie. — Miłość, przyjaźń, ufnosć, wolna od podejrzeń, zakwitły w cieniu tych murów, godnych piekła Dantego.

II.

Pani de Saint-Amaranthe.

A przecież pomiędzy tymi ludźmi, o których bez zgrozy pomyśleć nam niepodobna, znajdowali się poeci, artyści, salonowcy, mogący być ozdobą każdego towarzystwa.

Sam nawet Robespierre potrafił być bardzo miłym, gdy nim być chciał, zdarzało się to jednak bardzo rzadko, bo on nadewszystko obawiał się zdradzić ze swymi tajnymi planami, co w rozmowie towarzyskiej, a poufalej, łatwo nastąpić mogło. Natomiast zachowywał nadzwyczajną, prawie drobiazgową elegancję i wykwinność we wszystkich szczegółach swego ubrania. Bielizny używał najpiękniejszej, jaką dostać było można, ozdobionej kosztownymi koronkami; kamizelki nosił różowe i niebieskie jedwabne, haftowane srebrem i złotem, a zimą, czy latem, nie ruszał się bez bu-

kieta z róż w rękę. Przytem tak namiętnie lubił perfumy, że chodził zawsze otoczony pachnącym obłokiem.

Mieszkanie, jakie Robespierre zajmował u pewnego stolarza, nie było wcale wspaniałe i nie odpowiadało zupełnie tej wyszukanej elegancji, z jaką się ubierał.

Niemniej jednak prowadził on dom otwarty, przyjmując wszystkich najwybitniejszych ludzi ówczesnej Francji, tak pod względem talentu, jako i władzy, jaką w danej chwili posiadali. Rozmawiano, dysputowano, czytano — czasami nawet śmiało się i bawiono!...

Podczas jednej właśnie z takich proszonych kolacyi, na której znajdowali się między innymi Danton, Saint-Just i Brissot, zdecydowana została śmierć pani de Saint-Amaranthe i jej córki pani de Sartines. Robespierre, który był mocno podniecony, wypowiedział kilka słów, które zrozumiane i powtórzone mogły mu bardzo zaszkodzić.

— Mówiłeś wczoraj za wiele — powiedział mu nazajutrz Saint-Just.

— A cóż ja takiego powiedziałem? — zapytał Robespierre.

Saint-Just powtórzył frazes, który w rzeczy samej miał bardzo poważne znaczenie.

Dyktator rozumiał swą nieostrożność i zmarszczył brwi.

Było to wyrokiem na matkę i córkę.

Ale muszę tutaj powiedzieć kilka słów o tych paniach, ich historia bowiem łączy się tak ściśle z historią Robespierre'a, że, pisząc o nim, pominać ich niepodobna.

Pani de Saint-Amaranthe pochodziła z dobrej, szlacheckiej rodziny, zamieszkałej w Besançon. Wychowywana była starannie, ale bardzo surowo, przez matkę, która z drugiej strony nie wiele się nią sama zajmowała, nie potrafiła też wzbudzić w córce ani miłości, ani zaufania.

Jako zupełnie młoda dziewczyna, poznała pewnego kapitana kawalerii, p. de Saint-Amaranthe, pięknego i bogatego; nie wiele on też potrzebował czasu, aby wzbudzić w niej miłość i zachęcić do potajemnej ucieczki z domu rodzicielskiego. Po zawarciu małżeństwa, młoda para osiedliła się w Paryżu... ale ich miesiąc miodowy trwał bardzo krótko. Pan de Saint-Amaranthe był wprawdzie młody i piękny, ale obok tego grał namiętnie w karty, a, co gorsza, znudziwszy się wkrótce żoną, począł szukać rozrywek poza domem, zostawiając młodą kobietę samą, na pastwę nudów.

Pani de Saint-Amaranthe, artystka w duszy, uczuciowa i uwielbiana bezkrytycznie wszelką wyższość, lub to, co jej się nią być zdawało, poznała wkrótce, jak mała była wartość moralna jej męża, a że w gruncie była to natura prawa i otwarta, z równą szczerością wypowiedziała mu swój zawód i rozczarowanie, jak niegdyś swoją miłość.

Ta otwartość uraziła męża, który chciał być kochanym, bądź co bądź, i rozdzwięk w małżeństwie stał się tem silniejszy. Na dobitkę, wkrótce potem stracił p. de Saint-Amaranthe majątek i, pozostawiając żonę i dzieci na łasce losu, wyjechał do Hiszpanii, gdzie wkrótce umarł.

Po wyjeździe męża, pani de Saint-Amaranthe, pozostawszy bez żadnych środków do życia, zawiązała stosunek z księciem Conti, który to stosunek stał się wkrótce bardzo głośnym i zgubił ją w opinii świata.

Przyjmowano ją wprawdzie u siebie, a nawet bywano u niej, ale zdarzało się także, że niektóre z pań, urażone, lub zazdrosne o jej powołanie nie raczyły jej oddać publicznie ukłonu i t. p., i to nieraz istoty niżej pod względem moralnym od niej stojące.

Pani de Saint-Amaranthe uchodziła zawsze za bardzo piękną, chociaż o jej urodzie możnaby to samo powiedzieć, co o jej charakterze: że była to dziwna mieszanina wzniosłych przymiotów i brzydkich wad.

Miała godziny, w których była cudownie piękna i świeża, i takie, w których wyglądała na 40-letnią zwiędłą kobietę. Serce złote i dusza szlachetna, ale żadnego rozsądku i zrównoważenia! Robiła tysiące rzeczy, zasługujących na najwyższą naganę, a przecież kazała się kochać pomimo to wszystko. Kto ją zaś raz pokochał, ten już na zawsze pozostawał jej poświęconym przyjacielem.

Nie odznaczała się nadzwyczajną inteligencją, ale posiadała rzadki dar towarzyski—uwidocznienia inteligencji innych; umiała słuchać ze zrozumieniem, a to zawsze najwięcej ludzi zjednywa.

Twarz jej tak była wyrazista i ruchliwa, że najmniejsze wrażenie odbijało się na niej, jak w zwierciadle, zmieniając kompletnie cały jej wyraz, co doprowadzało do rozpaczny malarza Dawi-

da, który zaczynał kilkakrotnie jej portret, ale nigdy dokończyć go nie mógł, z powodu tej nadzwyczajnej ruchliwości fizyonomii.

— Gdybym mógł cały portret wykończyć w ciągu jednej godziny, możeby mi się udało...— mawiał nieraz, bo w następnej, to już nie ta sama kobieta.

Wszystkie te szczegóły wiem od pana de Sainte-Foix, który nlaezał do codziennych gości i poufałych przyjaciół naszego domu, a kiedyś był gorąco kochany przez panią de Saint-Amaranthe. Później ta miłość ochłodziła, ale do śmierci pozostał jej szczerym i wylanym przyjacielem i lubił o niej opowiadać.

W chwili wybuchu rewolucyi 1789 r., pani de Sainth-Amaranthe nie była już zbyt młoda, ale znajdowała się obok niej córka—Emilia, która właśnie dorosła, a stanowiła zupełny kontrast z matką. O ile matka czarowała swą nadzwyczajną żywością i ruchliwością—o tyle córka przykuwała naturalnością i spokojem, z pewnym nawet odcieniem melancholii. Często usuwała się w najdalszy kąt salonu, słuchając z łagodnym uśmiechem toczących się dokoła rozmów, które nieraz zdawały się ją męczyć. Nigdy jednak żadne gorzkie, lub szorstkie słowo nie wyszło z jej ust, nigdy nie znać na niej było zniecierpliwienia, czasem tylko smutek i zmęczenie.

Matka uwielbiała ją prawie namiętnie i nawzajem gorąco była przezeń kochaną. Muzyk Gossec scharakteryzował je obie w jednym zdaniu, które ja znajduję bardzo trafnem:

— Jak patrzę na panią de Saint Amaranthe —

powiedział on pewnego dnia do Davida i p. de Sainte-Foix—mam ochotę skomponować gavotta... ale gdy spojrzę na Emilię, na jej smutny i słodki uśmiech i te oczy głębokie, zamyślane, jakby patrzące w siebie... przejmuję mnie uczucie szacunku i uwielbienia i zdaje mi się, że słyszę podniosły hymn religijny”.

I rzeczywiście, była to twarz anielskiej prawie piękności, jak mnie o tem niejednokrotnie zapewniali panowie: de Sainte-Foix, de Narbonne i hrabia Tilly.

Natomiast panią de Sainte-Amaranthe nazywali zwykle „maszyną salonową”, nie w ujemnem tego słowa znaczeniu, ale z powodu nadzwyczajnych, wprost genialnych zdolności towarzyskich. Była to kobieta godzin nocnych, w dzień zwykle spała, ale z chwilą znalezienia się w oświetlonym salonie—stawiała się czarującą.

Potrafiła zająć i zabawić wszystkich, dla każdego miała inny uśmiech, inne spojrzenie i każdemu się zdawało, że nim jest jedynie zajęta. Zręcznem słówkiem, od czasu do czasu wtrąconem, podtrzymywała ogólną rozmowę, nie występując nigdy sama, ale dając sposobność każdemu do pokazania się w najlepszym świetle. Nie znosiła żadnych rozmów na stronie, lub przyciszonym głosem prowadzonych, i nic nie było zabawniejszego, jak obserwować ją w takich chwilach, kiedy coś podobnego u siebie spostrzegła. Żywo, a nie zwracając niby na to, co się dzieje, uwagi, zrywała się ze swego fotela i, kręcąc się po całym salonie, zaczepiając tego i owego, potrafiła nieznacznie zmienić rozmowę na ogólną, zarówno

dla wszystkich interesującą, pełną wybuchów śmiechu i niewymuszonej wesołości.

Pomimo gorącej miłości, jaka je łączyła — matka i córka nie rozumiały się zupełnie, charakter ich i usposobienia zbyt były odmienne; co jednak nie psuło harmonii, jaka pomiędzy niemi stałe panowała.

Wszyscy cudzoziemcy, zajmujący pewne stanowisko społeczne, mieli sobie za obowiązek być przedstawionymi w salonach pani de Saint-Amaranthe i nieraz brali te panie za siostry, co Emilię cieszyło nieskończenie. Prócz arystokracji i cudzoziemców, bywali tam także wszyscy wybitniejsi malarze, rzeźbiarze, poeci, artyści dramatyczni i t. p. i ci właśnie pozostali jej wiernymi aż do końca, nawet wówczas, gdy rozwijające się wypadki spowodowały masową emigrację ludzi lepszego towarzystwa.

Pomiędzy artystami, bywającymi u pani de Saint-Amaranthe w początkach rewolucyi, znajdował się pewien młodzieniec, zaledwo 22-letni, o wyjątkowo pięknej powierzchowności i obdarzony takim talentem, że wrócono mu z czasem najświetniejszą przyszłość. Że przytem pochodził z dobrej, acz niezamożnej rodziny i był bardzo starannie wychowany, został przez gospodynię domu uprzejmie, a nawet serdecznie przyjęty. Smakując w towarzystwie, jakie się tam zbierało, zaczął bywać coraz częściej i wkrótce zapalał gorącą miłością dla prześlicznej Emilii, która ze swej strony odpłacała mu się równie silnem uczuciem.

Nigdy jednak słowo miłości nie zostało wy-

powiedziane! Wiedzieli oboje, że matka pod takim warunkiem nie byłaby na ten związek zezwoliła, marząc o świetniejszym dla swojej córki losie; za szlachetni zaś byli oboje i za prawi, aby zawiązywać stosunek, którego podstawą byłyby kłamstwa i podstęp.

Tymczasem pani de Saint-Amaranthe, której szczątki fortuny umieszczone były w papierach państwowych, ujrzała się nagle zupełnie zrujnowaną; że zaś właśnie w tym czasie o rękę Emilii oświadczył się p. de Sartines, syn dawnego ministra marynarki — przyjęła go skwapliwie, a Emilia zapytana dla formy o zdanie — milczeniem potwierdziła wybór matki.

Gdy minęło pierwsze przygnębienie, spowodowane zupełną stratą majątku, pani de Saint-Amaranthe poczęła tęsknić do towarzystwa, bez którego nie rozumiała życia; założyła więc pensjonat, gdzie obiedwie z córką przydykowały przy table d'hôte, co jej dawało złudzenie salonu. Przytem myślała ona, że tym sposobem odwróci od siebie podejrzenia, którychby nie uniknęła, przyjmując ludzi bezinteresownie, bez ludzi zaś nie pojmowała ona życia. Biedaczka! drogo zapłaciła za tę nieumiarkowaną chęć zabawy i rozrywkę!

Kto tylko zdołał uchronić się przed śmiercią, więzieniem, lub wygnaniem, ten niebawem znalazł się napowrót w jej domu. Do dawnych przyjaciół przybyli jeszcze nowi, mianowicie wszyscy członkowie Żyrondy, którzy, zachwyceni wdziękiem obydwóch pań i pociągnięci pełną dowcipu i elegancji rozmową, jaka tam zawsze panowała, cały swój czas, wolny od zajęć parlamentarnych, dzielili

między panie: Roland i de Saint-Amaranthe. Powrócili i artyści... nie wszyscy jednak... niektórzy bowiem usunięci zostali przez samą gospodynię domu. W liczbie tych ostatnich znajdował się malarz Dawid, któremu ona darować nie mogła dwóch rzeczy—to jest: głosowania za śmiercią króla i wymalowania dwóch obrazów, przedstawiających śmierć Lepelletiera i śmierć Marata. Sama mu to powiedziała, dodając jeszcze:

— Dla pana samego będzie to lepiej, za wiele bywa u mnie ludzi, którzy biorą to panu za złe, nie czułyby się swobodnym!

— Ależ ja wypełniłem tylko obowiązek obywatela!—zawołał David.

— Nie mów pan do mnie w ten sposób, proszę, hm... obowiązek... i... nie nalegaj, abyśmy nadal zachowywali stosunki; wierzę mi pan, nie doznalibyśmy obustronnie najmniejszej w tem przyjemności.

Śmierć Lepelletiera była konsekwencją i epilogiem procesu i skazania króla. Zaledwie proces został ukończony i miano zarządzić głosowanie, kilkunastu członków Konwencji dostało listy z pogrózkami w razie oddania głosu za wyrokiem śmierci. Lepelletier dostał ich aż dwa — jeden anonimowy, drugi zaś podpisany przez niejakiego Pârisa, dawnego gwardzistę królewskiego. Nie robiąc sobie nic z tych ostrzeżeń, Lepelletier głosował za śmiercią... ale nazajutrz spotkał w jednej restauracji owego gwardzistę, który, zawoławszy tylko „Ostrzegalem cię!” utopił mu sztylet w sercu. Tę właśnie chwilę przedstawił David na swoim obrazie, chcąc tym sposobem oddać

hold pamięci Lepelletiera, którego był przyjacielem, a którego nazywał męczennikiem sprawy narodowej.

Jest to obraz wielkich rozmiarów, na którym Lepelletier leży na łóżku, mając nad głową zawieszony na włosie miecz, przebijający papier, na którym wypisane są słowa: „Głosuję za śmiercią tyrana!”

Nad obrazem umieszczony jest napis następujący:

Roku 1793 a II-go Republiki
Michałowi Lepelletier,
zamordowanemu z powodu głosowania za śmiercią tyrana
L. J. David, kolega.

W kilka miesięcy później, gdy Francja upadała pod brzemieniem najstraszniejszej krwawej anarchii, krzyk mordowanych setkami ofiar wzruszył serce szlachetnej kobiety, a grozą przejęły ją słowa, wypowiedziane przez Marata:

— Największemu złem obecnego systemu jest zbyteczna łagodność. Trzeba, aby krew popłynęła, nie kroplami... ale strumieniami!

— Oto potwór, którego zgładzić należy — powiedziała sobie Karolina Corday i wybrała się w podróż do Paryża. Przybyła tam 12 lipca 1793 r. i nazajutrz Marat już nie żył!

Śmierć ta jednak, zamiast rozluźnić, zacięsniała jeszcze kajdany, w których jęczała Francja cała, gdyż szanowni decemwirowie pomścili śmierć potwora zamordowaniem tysięcy niewinnych istot.

Nazajutrz po śmierci Marata przybyła do

konwencji deputacya, pod przewodnictwem Guiraulta, który, wchodząc do sali obrad, zawołał:

— Gdzie jesteś, Davidzie? ty, któryś przekazał potomności śmierć Lepelletiera, umierającego za ojczyznę... Jeden jeszcze pozostaje ci obraz do zrobienia!

— Zrobię go! — zawołał David głosem drżącym i wzruszonym.

I ci dwaj ludzie padają sobie z płaczem w objęcia!

Doprawdy, gdyby nie historia, możnaby pomyśleć, że Marat był jakimś bohaterem, zbawcą Francji!

Obraz został wykonany i ja, która to piszę, miałam sposobność widzieć szkic jego na własne oczy, w Wersalu, u pana de Bonnetarère, który go miał od samego Davida, z którym był niegdyś w przyjaźni. Marat jest tam przedstawiony umierający w kąpielu, skrwawiony, trupio-blady, z głową owiniętą w chustkę—ohydny!...

To uparte postanowienie używania swego pięknego talentu do uwieczniania wszystkich okropności, rozgrywających się wówczas we Francji, najwięcej szkodziło Davidowi w oczach pani de Saint-Amaranthe, może więcej, niż głosowanie za śmiercią Ludwika XVI; zdawało się jej bowiem nieestetycznem, a ona przedewszystkiem była artystką.

Co do Emilii, ta miała zawsze do Davida wstręt niepokonany, który zaledwie ukryć potrafiła. Ujrawszy go, zjawiającego się znowu w salonie matki po dłuższej nieobecności, zadrżała ze

zgrozy, co spostrzegłszy David, przybliżył się do niej i powiedział:

— Powinnaby pani odwiedzić kiedy moją pracownię, aby zobaczyć nowy obraz, nad którym właśnie pracuję.

— A jakiż jest jego temat? — zapytała pani de Sartines.

— Bardzo wzruszający—odparł artysta.

I opowiedział jej historię młodego, dwunastoletniego chłopca, Józefa Barras, ubogiego wieśniaka, który dla polepszenia bytu matki zaciągnął się do wojsk republikańskich, jako dobosz i został wysłany do Wandei. Pewnego dnia znalazł się niespodzianie otoczony przez oddział powstańców.

— Poddaj się i zawołaj: Niech żyje Ludwik XVII—powiedziano mu.

— Niech żyje Republika! — zawołał heroiczny chłopiec, nie zważając na skierowane ku swej piersi bagnety, i w tej samej chwili padł martwy, zakłuty bez miłosierdzia, mając zaledwie tyle czasu, aby przycisnąć do serca swoją trójkolorową szarfę.

Tę właśnie chwilę uwiecznił David na swoim obrazie!

Pani de Sartines podziękowała mu uprzejmie za obznajmienie jej z treścią swego nowego dzieła, dodając przytem:

— Z największą przyjemnością przyjdę zwiedzić pańską pracownię... gdy pan będzie miał w niej jakieś weselsze tematy. Obecnie na tyle smutnych scen patrzeć musimy w rzeczywistości,

że doprawdy nie czuję się na siłach powiększać jeszcze ich liczby.

David uczuł się upokorzonym i dotkniętym, a jakkolwiek nie miał zamiaru szkodzić tym panom, nie był bowiem w gruncie tak złym, jak go zwykle przedstawiają, mówiąc jednak o nich, odzywał się z pewną urazą i rozgoryczeniem.

Tego było dosyć dla Robespierre'a i Saint-Justa.

Zaciekawieni, poczęli go wypytywać, a on opisał im całe urządzenie domu, sposób przyjmowania gości i towarzystwo, jakie się tam zwykle zbierało.

— ...przeważnie szlachta i ludzie, przywiązani do dawnego systemu, oraz cała Żyronda. Spotkałem tam panów: Gaudet, Gensonné, Boyer-Foufrède, Valazé i wielu innych.

Robespierre się zachmurzył.

Od tej chwili dom pani de Saint-Amaranthe podlegał najściślejszej kontroli.

Niebawem Żyronda została wymordowana, co spowodowało wybuch rozpacz i oburzenia u pani de Saint-Amaranthe, której taka inercja społeczeństwa wydawała się wprost nie do darowania.

— Oh! dlaczegoż Karolina Corday już nie żyje! — zawołała ze łzami.

Pewnego dnia David zjawił się znowu w jej domu.

— Przychodzę jako przyjaciel, — powiedział na wstępie — Robespierre polecił mi ostrzedz panią, byś się miała na baczności i uważała... kogo u siebie przyjmujesz...

— Wielki Boże, — zawołała przerażona —

jakim sposobem osoby tak nic nieznaczące, jak my, mogły zwrócić uwagę naczelnika państwa? U mnie bywa osób bardzo mało, a na przyszłość ograniczę jeszcze ich liczbę.

Tak też uczyniła; ale, jak już raz wspomniałam, była to osoba, nie umiejąca żyć w ciszy i ośobnieniu; przytem, chcąc zagłuszyć w sobie smutek i obawę, jaka ją nieraz przejmowała, zaczęła bywać od czasu do czasu w teatrze, o ile sztuka możliwa była do wysłuchania.

— Któż to jest ta piękna osoba? — zapytał pewnego wieczora Robespierre Saint-Justa, ukazując mu siedzącą w łoży panią de Sartines, której twarz zachwycająca zwróciła uwagę wszystkich widzów.

— To dawna panna de Saint-Amaranthe, obecnie pani de Sartines.

— Doprawdy! nie byłbym jej poznał... ależ ona jest prześliczna!

— Tak, piękna jest, to prawda... — odpowiedział ponuro krwiożerczy przyjaciel Maksymiliana — ale tak ona, jak i jej matka zdradzają Republikę.

Robespierre wzdrygnął ramionami.

— Nie wierzysz mi! — ciągnął dalej Saint-Just — a więc umieść w jej domu jednego lub dwóch zręcznych szpiegów, a zobaczysz, co ci wkrótce powiedzą.

— Chcąc być pewnym, najlepiej działać samemu — rzekł na to Robespierre — ja sam pójdę do tych pań.

I w rzeczy samej, w kilka dni później pojawił się u pani de Saint-Amaranthe, w towarzy-

stwie Saint-Justa, Legendre'a, Barrère'a i kilku innych przyjaciół.

Przypuszczali oni widocznie, że dom jej jest niejako filią emigrantów, służącą do porozumiewania się z krajem, że zatem od jednego razu trafią na główne ognisko spisków; tymczasem salon ten był rodzajem karawanseraju, gdzie bywali ludzie najrozmaitszych przekonań, od których dano jedynie znajomości form towarzyskich i dobrego wychowania. Chcąc się przekonać, czy pod tymi pozorami nie kryje się nic poważniejszego, należało studyować go czas dłuższy, i tego starania podjął się sam Robespierre.

Zaczął więc bywać stale, coraz częściej, ale i on nawet nie był w stanie oprzeć się pełnej wdzięku uprzejmości obydwóch pań i jakkolwiek bywanie jego zupełnie czem innem zostało spowodowane, uległ czarowi pięknej Emilii, zapominając na razie o wszystkiem innem.

Wspominałam już przedtem, że Robespierre, o ile tylko chciał, potrafił być człowiekiem salonowym i dobrze wychowanym, nie przypominającym zupełnie tego krwiożerczego potwora, jakiego przyzwyczailiśmy się w nim widzieć.

Tutaj zaś pragnął tego podwójnie, bo, zachawszy się gorąco, nie obawę, której się domyślał, ale inne, słodsze uczucie, postanowił wzbudzić w przedmiocie swej miłości. Pisał więc wiersze na cześć pani de Sartines, śpiewał romanse, w których pod pokrywką muzyki wypowiadał uczucia, jakich, pomimo swej wielkiej pewności siebie, długo otwarcie wyjawić nie śmiał. Posyłał i nosił

kwiaty... jednym słowem, całe jego postępowanie w owym czasie było istną sielanką.

— Czego ten człowiek może chcieć ode mnie? — mawiała nieraz biedna Emilia do poufalszych przyjaciół i znajomych — doprawdy, serce mi zamiera ze strachu, ilekroć spotkam wzrok jego ku sobie zwrócony.

Zwolennicy i współpracownicy Robespierre'a mocno się zatrwożyli tą miłością jego ku osobie, którą uważali za swoją urodzoną nieprzyjaciółkę, posądzając ją o najstraszniejsze względem siebie zamiary i intrygi. Sądziła ją według siebie, nie będąc w stanie pojąć takiej duszy, jaką posiadała pani de Sartines, niezdolnej do nienawiści lub zemsty; postanowili zatem zniweczyć jej wpływ stanowczo i na zawsze.

Plan swego postępowania oparli na wielkiej znajomości charakteru Robespierre'a, a mianowicie jego niezmierzonej próżności, która mu kazała wierzyć, że potędze jego wzroku żadna kobieta oprzeć się nie zdoła, ale prędzej czy później pokochać go musi. Poczęli zatem z niego żartować, wypytując szydlerczo, jak daleko w swej miłości postąpił i co wzamian za swe kwiaty i poezye uzyskał? Żartami temi obudzili tygrysa, który mógł wprowadzić zadrzemać chwilę, ulegając wdziękowi i słodczy, żył jednak ciągle!

Słuchając drwin Saint-Justa, Robespierre się lekko uśmiechnął, a uśmiech ten zimny i okrutny był zapowiedzią zguby obydwóch kobiet. Postanowił on ujawnić swój tryumf nad sercem Emilii, gdyż nawet wzajemność ukochanej kobiety nie

miała dlań wartości, o ileby świat się o niej nie dowiedział.

Tymczasem pani de Sartines, drżąc o życie matki, męża, brata i bratowej, starała się przezwyciężyć swój wstręt do Maksymiliana i zjednać go sobie uprzejmością i grzecznością, którą ten w swej zarozumiałości brał za tajone uczucie miłości. Oznajmił zatem przyjaciółom, że niebawem ich przekona, co mają o tem sądzić, aby zaś swemu tryumfowi nadać jaknajwięcej rozgłosu, postanowił wyprawić ucztę na jej cześć w miejscowości „Maisons”, niedaleko Charenton, urządzonej wspaniale i zbyt kownie w przewidywaniu tego rodzaju uroczystości.

Wszyscy moi znajomi, którzy mieli sposobność obserwować stosunek Robespierre'a do pani de Sartines, twierdzili jednogłośnie, że był on rzeczywiście w niej zakochany, o tyle naturalnie, o ile taki człowiek zdolny był do odczucia tego wzniosłego uczucia.

Przez cały dzień pobytu w Maisons, towarzysząc nieustannie Emilii, zasypywał ją grzecznościami, których ona odpychać nie śmiała z obawy narażenia siebie i swoich najbliższych na groźne niebezpieczeństwo; wreszcie... oświadczył jej swoje uczucia; chcąc zaś podbić ją do reszty, napomknął o wysokim stanowisku, jakie go czeka w niedalekiej przyszłości...

Nazajutrz po powrocie do Paryża, jeden z jego „wiernych”, mianowicie Saint-Just, poszedł go odwiedzić. Robespierre był ponury i zamyślony, czując, że w rzeczy samej wczoraj zadaleko się

posunął... pozwolił sobie zajrzeć w duszę—szczegółów jednak nie pamiętał.

— Maksymilianie — powiedział mu przyjaciel—czy pamiętasz, coś mówił wczorajszego wieczora?

— Pocóż mi o tem przypominasz — odrzekł Robespierre—zapomniałem się, to prawda, ale to mi się zdarza tak rzadko, że doprawdy nie zasługuję na wyrzuty.

— A gdyby to zapomnienie pociągnęło za sobą najgorsze skutki nie tylko dla ciebie samego, ale dla nas wszystkich?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To, że wczoraj mówiłeś dużo... za wiele... mówiłeś rzeczy, które, rozgłoszone, ściągną na nas mogą największe niebezpieczeństwo.

— Ależ... byliśmy sami!...

— Jakto sami? a te kobiety?...

— Te kobiety... one mnie kochają — zatem z ich strony nic mi grozić nie może.

— Słuchaj, Maksymilianie — rzekł na to Saint-Just—Henriot i ja zatrzymywaliśmy cię ciągle nad brzegiem tej przepaści, w którą z powodu swego uporu wczoraj wpadłeś... Ostatecznie, wolno ci się narażać samemu, ale ty wczoraj wymieniałeś rozmaite nazwiska, a więc nie o ciebie jednego już chodzi, ale o nas wszystkich, którzyśmy swoje losy z twoim połączyli... my zaś ginąć nie chcemy, zatem chcesz, czy nie chcesz — ratować cię będziemy. Trzeba coś postanowić!

— Co zrobić? — zawołał Robespierre, blednąc straszliwie.

— Te kobiety umrzeć muszą — rzekł twar-
do Saint-Just — to jedyny sposób, zapewniający
nam zupełne bezpieczeństwo.

— Nie, ja nie chcę — szepnął Robespierre,
osuwając się na krzesło.

— W tej sprawie ty decydować nie możesz,
ale ci, których naraziłeś przez swą niedyskrecję;
tak być musi, Maksymilianie.

Tak więc, jak widzimy, ten wszechwładny
pan i władca, o ile chodziło o niszczenie, stawał
się bezsilnym, chcąc kogoś ocalić. Siła jego nie
w nim leżała, ale pochodziła z zewnątrz, zależna
była od poparcia współników zbrodni!

W trzy dni po owej nieszczęsnej uroczystości
pani de Sartines została aresztowana, a z nią ra-
zem uwięziono jej matkę, męża, brata i bratową.
Na godzinę przed przybyciem policyi pani de
Saint-Amaranthe otrzymała list bez podpisu, na-
glący do śpiesznej ucieczki. List ten pochodził
podobno od Robespierre'a! Zanim jednak zdołały
pójść za radą w nim zawartą, siła zbrojna otoczyła
dom cały, udaremniając ucieczkę. Pani de Saint-
Amaranthe okazała dużo odwagi w tej okolicz-
ności, co zresztą było rzeczą dość zwykłą w owym
czasie, a pani de Sartines, jak to wiem od świad-
ków naocznych, była wprost wzniosła. Spokojna,
zrezygnowana, pełna łagodności i tej swobody
umysłu, która oznacza prawdziwą odwagę, pocie-
szała i uspokajała matkę, która wyrzucała sobie
teraz, że sama sprowadziła na wszystkich to nie-
szczęście, nie umiając w porę zniknąć w cieniu
i pozwolić o sobie zapomnieć...

W chwili śmierci pani de Sartines liczyła

dopiero 21 lat życia i zaledwie od roku była za-
mężna, życie zatem uśmiechać jej się musiało,
nie okazała jednak żadnej słabości i całe jej za-
chowanie wywołało niejednokrotnie rumieniec za-
wstydenia na czoła samych nawet katów.

Śmierć całej rodziny z góry była postano-
wiona — na razie jednak trudno było wynaleźć
jakiś pretekst usprawiedliwiający tę masową eg-
zekucję. Życie obydwóch kobiet tak było jawne
i dalekie od wszelkiego ruchu politycznego, że
znaleziono się w niemalym kłopotcie — o co wła-
ściwie obwinić je należy? Wreszcie wymyślono
spisek, mający na celu morderstwo Collota d'Her-
bois, którego współpracownikami jakoby być miały.

Pani de Sartines, wysłuchawszy aktu oskar-
żenia, rzekła z uśmiechem politowania i pogardy:

— Na cóż to kłamstwo? gdybyście przy-
najmniej mieli odwagę jawnego przyznania się do
właściwego powodu naszej śmierci — byłoby to
mniej podle... choć równie okrutne. Zresztą,
choć mam dopiero lat 20 i czuję się niewinna,
wolę umrzeć, niż żyć nadal pomiędzy takimi pot-
worami, jakimi wy jesteście.

Po wyroku, sama obcięła sobie włosy i, roz-
dzieliwszy je na kilka promieni, wręczyła dozorczy
więzienia dla oddania kilku przyjaciółom i znajo-
mym; gdy zaś przyniesiono czerwone suknie, w ja-
kich — jako morderczynie — na rusztowanie je-
chać miały, ubrała się w swoją natychmiast
i z uśmiechem zapytała matki: czy jej do twarzy,
chcąc tym sposobem podnieść odwagę biednej
kobiety, odpychającej ze wstrętem i zgrozą tę sza-
tę hańby.

Umieszczona, w otoczeniu rodziny, na fatalnym wozie śmierci, rozmawiała swobodnie i z największą czułością z matką, pocieszała męża, brata i bratową, rzucając zaledwo przelotne wejrzenia na tłum otaczający, który—jakby niesyty krwawych widoków—stałe towarzyszył wszystkim ofiarom w ich ostatniej podróży. Nagle jednak zadrżała i zbladła—ujrzała w tłumie zrozpaczony wzrok ukochanego przyjaciela młodości, który poraz pierwszy dopiero — wobec śmierci — okazał jej całą głębię swojej miłości i rozpacz. Podziękowała mu słodkim i czułym uśmiechem — nakazując jednocześnie spojrzeniem, aby się oddalił...

Zbliżano się właśnie do szafotu — a ona — nawet w tej chwili nie myślała o sobie, pragnąc jedynie oszczędzić ukochanemu okrutnego widoku.

Stało się to 18 czerwca 1794 roku, na krótki czas przed 9-tym thermidora.

W taki sposób przychodziło okupywać przyjemności życia towarzyskiego pod rządami Robespierre'a! Tak płacił on tym, które miały szczęście zwrócić na siebie jego uwagę!

III.

Kamil Desmoulins.

Oprócz przyjęć u Robespierre'a odbywały się jeszcze podobne zebrania u Dantona, u którego bywano tem chętniej, że honory domu robiła żona jego, młoda i pełna wdzięku istota, na którą patrząc trudno było uwierzyć, że te słodkie, łagodne

oczy potrafią codziennie przyglądać się śmierci tysiąca niewinnych ofiar. Przyjmował także i Kamil Desmoulins, którego żona, prócz piękności—odznaczała się jeszcze nieprzeciętną inteligencją i heroiczną odwagą, czego dowiodła, szukając sama śmierci po stracie ukochanego męża. Ciekawość doprawdy musiał być widok ludzi takich jak: Danton, Saint-Just, Hébert i sam Robespierre, czytających i dyskutujących o błędach i zaletach jakiegoś dramatu czy poematu! Jakie uczucia budził w ich duszach opis jakiejś sielankowej miłości, lub piękności natury; opis, opiewający dobrodziejstwa spokoju, ciszy i swobodnej wesołości... po dniu spędzonym wśród jęku ofiar, przez nich samych na śmierć wysłanych!..

Kontrast pomiędzy charakterem tych ludzi, a ich mniemanymi upodobaniami uderzał mnie zawsze żywo, gdy mi Tallien, ich dawny współbiesiadnik, opowiadał różne szczegóły, w czasie mego pobytu w Madrycie, gdzie go właśnie poznałam.

Takie czytane zebrania odbywały się dość często, najczęściej jednak u Robespierre'a, a jedno z nich właśnie spowodowało oziębienie stosunków pomiędzy tym ostatnim a Kamilem Desmoulins, który aż dotąd był entuzjastycznym przyjacielem i zwolennikiem dyktatora.

Zebranie to było nader liczne. Prócz gospodarza domu, znajdowali się na niem wszyscy wybitniejsi ludzie owej epoki: Danton z żoną, Hébert ze swoją, Barrère, Tallien, Saint-Just, Cambacères, Chénier, Talma Dugazon, Laïs ze swoją kochanką, piękną panią Lapalud, rodem z Flan-

dryi, która prócz piękności odznaczała się jeszcze wspaniałym głosem; dalej David i wiele innych znakomitości ze świata artystycznego.

Najpiękniejszą jednak ze wszystkich była zona Kamila Desmoulins, którego dramat miał być przez niego samego odczytany.

Treścią dramatu było uwiedzenie młodej i pięknej wieśniaczki, świeżo do domu rodzicielskiego po skończeniu edukacji przybyłej — przez właściciela owego majątku.

Dzisiaj temat ten jest już dość zużyty i oklepany — ale w owym czasie odznaczał się jeszcze nowością; przytem był bardzo odpowiedni do zaopatrywania i przekonań zebranego audytorium i nadający się do zohydzenia szlachty i przedstawienia jej w najczarniejszych barwach. Desmoulins skorzystał z niego w sposób nad wyraz jaskrawy; cnoty młodej dziewczyny, a przewrotność jej uwodziciela przedstawione były nader drastycznie, ale najciekawszy ze wszystkiego był nastrój — wprost idylliczny — panujący w całym dramacie. Opis życia wiejskiego — spokoju, ciszy i powszechnej zgody i miłości był tak wzruszający, tak doskonały, szczególnie w niektórych scenach, że i sam Gessner nie byłby się zdobył na nic lepszego — mianowicie, gdy przedstawiał słodką, niewinną Emilię, pracującą z matką przy kołowrotku, pomimo, że posiadała wyższe wykształcenie i różne talenta. W ogóle, pomimo niektórych braków, w całym dramacie widoczny był duży talent, jak mnie o tem zapewniał Tallien; to też Desmoulins uczuł się mocno dotknięty zarzutem Robespierre'a: „że powinien był wprowadzić do

akcyi miejscowego proboszcza, jako pomagającego „panu” do uwiedzenia „chłopki”; — zamiast pozostawiać go w cieniu — co pozwala przypuszczać, że był on raczej jej opiekunem i podporą”.

— I musi pani przyznać, że Robespierre miał zupełną rację — dodał jeszcze Tallien — przyjmując jakieś zasady, należy być w nich konsekwentnym.

Chénier, widząc wzmagające się rozdrażnienie obu antagonistów, pragnął rzecz załagodzić, podnosząc inne zalety czytanego dramatu; ale Desmoulins, dla którego nie była tajemnicą zawiść, jakiej był przedmiotem ze strony Robespierre'a, z powodu tryumfów parlamentarnych przez siebie odnoszonych — nie chciał — czy nie mógł zrozumieć krytyki, jako takiej, widząc w niej tylko gorycz i urazę zazdrośnika.

Ostatecznie — sztuka niezbyt się słuchaczom podobała, z czego żona Kamila była prawie zadowolona, bo i ona, pomimo całej miłości do męża, czuła, że, z wyjątkiem niektórych scen, całość pozostawia dużo do życzenia.

Wogóle, znając charakter i zasady Kamila Desmoulins, trudno go sobie wyobrazić, jako towarzysza i przyjaciela tych krwawych ludzi. Rzucony w ich szeregi przez Rewolucję, której początek powitał z entuzjastyczną radością, później — niejednokrotnie próbował hamować jej gwałtowność, używając w tym celu swej płomiennej wymowy, a także za pomocą pisma przez siebie wydawanego, pod tytułem „Le vieux cordelier”; że zaś talentem przerastał swych chwilowych towarzyszy o całą głowę — nie mógł więc liczyć na

pobłażliwość z ich strony. Każdy z nich nienawidził go w duszy, uznając w głębi jego wyższość nad sobą.

Robespierre zazdrościł mu wymowy; Hébert — że był lepszym pisarzem i publicystą; Saint-Just — większego szczęścia do kobiet, gdyż pomimo rzadkiej piękności tego ostatniego, Kamil gasił go zawsze i usuwał w cień ilekroć razem się gdzieś znajdowali.

Sam Desmoulins nie dostrzegał jeszcze chmur, gromadzących się nad jego głową, ale żona jego czuła burzę w powietrzu, a drżąc ciągle o życie uwielbianego męża, śledziła bacznie fizyognomie słuchaczy w czasie pomienionego odczytania dramatu. Saint-Just zdawał się najłagodniej ze wszystkich usposobionym. Może ten wyraz zawdzięczał swej nadzwyczajnej piękności... Jakżeżbo można było przypuszczać, aby w tak anielsko-pięknem ciele szatan obrał sobie siedlisko?...

Co do niego jednak, pani Desmoulins złudzeń nie miała; — wiedziała dobrze i nie od dziś, czego się po nim spodziewać można.

Wieczór ten — zaledwo na kilka dni poprzedził tragiczny koniec nieszczęśliwego Kamila. Potwór nazначzył go już w myśli swem krwawem piętnem... śmierć nastąpić musiała... Za towarzysza zaś przeznaczył mu... Dantona, człowieka prawdziwego talentu i niezwyklej anergii — najenergiczniejszego może z całego tego grona, który jednak zapominać zaczynał o wszystkim... dla kobiety.

Danton słuchał czytania machinalnie, nie biorąc żadnego udziału w toczącej się dyskusji; zda-

wał się pogrążonym w jakimś zamyśleniu czy marzeniu, wpatrując się z uwielbieniem w piękną twarz swej ubóstwianej żony, jakby myślą przechodził wszystkie uroczne chwile szczęścia, przy jej boku doznanego. W takich chwilach zapominał on nie tylko o kraju i jego potrzebach, czy dążeniach, ale nawet o swem własnem bezpieczeństwie. Robił on wrażenie człowieka, pogrążonego w jakimś śnie cudownym, stąpającego nad przepaścią, która każdej chwili pochłonąć go mogła i... miała... Nie zbywało nawet na znakach ostrzegawczych; przed kilku dniami oskarżono go publicznie o sprzyjanie generałowi Dillon — i musiał się z zarzutu tłumaczyć! on, Danton!

Hébert przyglądał się czytającemu z niechęcią i utajoną złością, na której dnie kryło się mściwe zadowolenie. Niedawno został on oskarżony przez Kamila o roztrwonienie funduszków, wręczonych mu, jako redaktorowi, na prowadzenie pisma, osławionego „Père Duchesne”; za co zaprzysiął mu krwawą zemstę. Korzystając zatem ze sposobności, przedstawił tegoż jeszcze wieczora Robespierrowi plan, który, zręcznie przeprowadzony, zgubić musiał obojdwóch przyjaciół: Kamila i Dantona.

Robespierre nie odpowiedział ani słowa, uściśnął tylko silnie rękę Héberta, jakby na podziękowanie za tak doskonale obmyślany sposób. Dowiódł mu też wkrótce swej wdzięczności... posyłając na rusztowanie!

Wspominałam już poprzednio, że Desmoulins, jakkolwiek pozostawał w bliskich stosunkach z najkrwawszymi ludźmi swojej epoki, nie miał jednak

usposobienia okrutnego, — nie był tem — czem oni. Błądził nieraz — to prawda — ale same nawet błędy jego ze szlachetnego wypływały źródła.

Za dowód, że zdanie moje zupełnie jest usprawiedliwione, posłużyć może historia jego życia. Losy Kamila i żony jego, Anny dziwną potoczyły się koleją, jak gdyby dla wykazania, co oczekuje tych, którzy opuszczają szeregi, w jakich postawiło ich urodzenie, a co więcej, pomagają przeciwnikom do zwalczenia i wyniszczenia naturalnych sprzymierzeńców.

Kamil Desmoulins był człowiekiem „dobrze urodzonym”, jak to dawniej mówiono, to jest: pochodził z dobrej rodziny szlacheckiej. Oddany przez ojca, generała Desmoulins do kolegium Ludwika Wielkiego, zapoznał się tam z Robespierrem i Saint-Justem, których biskup z Arras umieścił jako stypendystów w tymże samym zakładzie naukowym. Nie posiadając zbyt wielkiej fortuny, poświęcił się studjom prawnym i rok 1790 zastał go adwokatem, przesiąkniętym zasadami rewolucyjnymi i pragnącym całą siłą przyspieszyć postęp tego, co nazywał: „zwalczaniem przesądów i ciemnoty”, aby słońce wolności dla wszystkich zajaśnieć mogło.

Kamil posiadał niezwykle zdolności i rzadką inteligencję, pozbawiony był jednak zupełnie zmysłu krytycznego i rozważli, tak bardzo w życiu potrzebnej.

Widział zło, cierpiał nad niem, oburzało go ono do głębi, to też każdą zmianę gotów był uważać za polepszenie, nie zastanawiając się nigdy czy jest niem ona w rzeczy samej. Niestety,

taki brak zastanowienia był w owej epoce bardzo rozpowszechniony, szczególnie pomiędzy ludźmi o gorącym i szlachetnym sercu, czulem na niedolę bliźnich.

Kamil był jednym z pierwszych, nawołujących do zdobycia Bastylli i brał w walce osobisty udział;—a pewnego dnia w Palais-Royal, jego płomienna wymowa skłoniła tłum do podeptania białej kokardy francuskiej, zastępując ją zieloną, kolorem nadziei!

Wymowa jego, pełna niespodzianych zwrotów i szalonej energii, oszalała i porywała, doprowadzając często do czynów, których z rozmysłem nigdyby się nie dopuszczono, i których żalowano nieraz, ochłonąwszy z uniesienia.

W roku 1791, t. j. w chwili największego napięcia rewolucyjnego, kiedy jeszcze odwrotna strona medalu nie ukazywała się nikomu, a ruch cały zalewał się szczytnym wybuchem ducha ludzkiego, dążącego do swobody i wolności, spotkał Kamil młodą dziewczynę Annę Filipinę Duplessis-Laridon, której czarująca uroda i niepospolita inteligencya wywarły na nim silne i długotrwałe wrażenie. Spotęgowane ono jeszcze zostało wiadomością, że wybrana jego serca podziela wszystkie jego zapatrywania polityczne i jest zapaloną zwolenniczką ruchu rewolucyjnego.

Ojciec panny Duplessis, dawny wysoki urzędnik w ministerium skarbu, oraz matka jej, jedna z najpiękniejszych i najwykształceńszych kobiet swego czasu, wychowywali ją z całą troskliwością i miłością rodzicielską, przekładając szczęście i zadowolenie dziecka nad swoje własne. Młoda en-

tuzyastka, widując Kamila i słuchając jego słów wymownych, nawołujących do ukochania nad wszystko „świętej idei wolności”, — zapaliła się do zasad przezeń głoszonych i pokochała go całą duszą.

Zapytana, wyznała swą miłość z całą otwartością serca czystego i nieskalanego, nie pojmując dlaczego by się z nią ukrywać miała. Młoda, piękna i bogata — była ona tem lepszą partią dla Kamila, że obok tych trzech realnych przymiotów, posiadała jeszcze umysł subtelny, zdolny do zrozumienia jego marzeń, duszę szlachetną i serce gorące, umiejące kochać prawdziwie. Zresztą Kamil zasługiwał w zupełności na takie zaufanie, gdyż — jak to już wspominałam, był to człowiek prawdziwie wyższy, a błędy, jakie popełnił, odpokutował zbyt ciężko, niestety, aby mu je wymawiać można.

Małżeństwo wkrótce zawarte zostało; a świadkami byli: Robespierre i Saint-Just, dwaj towarzysze Kamila z ławy szkolnej, przyjaciele, mający się stać niebawem jego mordercami.

Dołączwszy majątek żony do swego własnego, Kamil znalazł się nagle w bardzo przyzwoitej pozycji socyalnej, pozwalającej mu na prowadzenie domu otwartego, którego największą ozdobą i magnesem ściągającym coraz liczniejsze towarzystwo — była żona, podzielająca całem sercem najskrajniejsze poglądy ukochanego męża. Stała się ona nawet pewnego rodzaju potęgą polityczną, ówczesni bowiem prowodyrowie ruchu, tak, jak dzisiejsi, rozumieli doskonale, że hasła i poglądy, przez tak piękne wypowiedane usta, łatwiejszy

znajdą dostęp do serc słuchaczy, choćby nawet argumenta mniej były przekonujące...

Salon pani Desmoulins był punktem centralnym całej partii rewolucyjnej, ksiązę d'Orleans zachodził doń często i poufale na obiady i kolacje, wracając z posiedzeń Zgromadzenia Narodowego; generał Lafayette ofiarował jej swój portret na pamiątkę miłych chwil w jej domu spędzonych; wszyscy wybitniejsi członkowie Rewolucji otaczali ją holdami i uwielbieniem.

Kamil pierwotnie przeciwny był mieszanii żony do intryg i zabiegów politycznych, ale Saint-Just potrafił zwalczyć ów wstręt mimowolny, przekonując go zręcznie a sofistycznie, jak wielkie usługi „świętej sprawie wolności” oddać może. Cel Saint-Justa inny był wprawdzie zupełnie i nie miał nic z polityką wspólnego; ale tym tylko sposobem mógł upozorować swe częste u Kamila wizyty; przytem atmosfera przewrotowa zdała mu się najodpowiedniejszą do wywołania pewnego nastroju w duszy pani Anny.

Kamil, wyznając i propagując zasady rewolucyjne, przeczuwał jednak, że one kiedyś staną się powodem jego zguby, przytem cała jego natura wzdygała się ze wstrętu na czyny, których „konieczność” przyjaciele wmówić mu usiłowali. Dowód tego usposobienia mamy w rozmowie, jaka toczyła się u niego pewnego dnia wobec kilku nastu osób, przezeń ugaszczanych.

Od początku obiadu siedział milczący, pogrążony w głębokiem zamyśleniu, nagle podniósł głowę i odezwał się ku ogólnemu zdumieniu:

— Rewolucya zły bierze obrót... mam prawie chęć połączyć się z rojalistami!...

Była to chwila jasnowidzenia—niestety, żona jego, młoda i zapalona, nie dostrzegała jeszcze groźnych chmur, jakie zasłonić miały niebawem to jasne słońce wolności, rzucające tak piękne i ciepłe promienie na stężalą w feudalizmie ziemię; i ona to powstrzymała Kamila od przyłączenia się do partii zwolenników Króla.

Osoba, która słowa te na własne uszy słyszała—był Prudhomme, ojciec, jeden z uczestników owego obiadu, a dobry mój znajomy i przyjaciel, który dużo mi ciekawych szczegółów opowiadał o wybitniejszych ludziach epoki rewolucyjnej, poznawszy się ze mną w Abbaye-aux-Bois w kilkanaście lat później.

Po tem chwilowem zawahaniu, Kamil posłubił całem sercem sprawę rewolucyi, zamykając rozmyślnie oczy na wszystko, coby go w niej razić mogło; założył wraz z Dantonem klub Korde-lierów; a gdy czasem sumienie zbyt głośno się w nim odzywało, zagłuszał je sofizmatami, tłumacząc sobie, że jest to zło chwilowe, a konieczne, bo gdzie walka się toczy, tam i ofiary być muszą, a żadna nie jest zbyt ciężka, gdy chodzi o wolność ludów!

Zresztą naonczas wierzył on jeszcze ślepo w czystość charakteru i zamiarów Robespierre'a, uważał go za człowieka opatrnościowego i kochał gorąco, zapewniając wszystkich wątpiących, że on jeden i jedyny Francję odrodzić może.

Przekonanie to podzielali zresztą i inni, bar-

dziej nawet, aniżeli Kamil, do dyktatora zbliżeni np. tegoż brat rodzony, człowiek wielkiej prawości charakteru i prawdziwie ojczyznę miłujący; co dowodzi jasno, jak szalony wywierał on wpływ na całe swoje otoczenie.

Pomimo jednak wszelkich sofizmatów i dobrowolnego zaślepienia, te ciągle jatki, w jakie Francja zamieniona została, ochłodziły znacznie zapal Kamila; patrząc zaś chłodniej, dostrzegał teraz wiele rzeczy, które dawniej uwagi jego uchodziły, rozważał je, krytykował, rozbierał; doszedł też wkrótce do przekonania, że wolność prawdziwa nie może się opierać na mordach i grozie. Żona, której serce pękało z bólu na widok przejeżdżających „wozów śmierci”, przepelnionych coraz nowymi ofiarami, podtrzymywała go w tych uczuciach i zachęcała do zwalczania tyrana. Porozumiawszy się więc z Dantonem, zaślepionym wprawdzie, ale niemniej szlachetnym w gruncie człowiekiem, a także z Héraultem de Séchelles i kilku jeszcze innymi, podobnie myślącymi ludźmi, założył dziennik pod tytułem: „Stary Kordelier”, gdzie z całą gwałtownością uczucia duszy szlachetnej i kochającej piętnował zbrodnie, kalające „świętą szatę Republiki”.

Po pierwszym numerze ukazały się niebawem dwa następne, chciwie rozchwytywane i komentowane z pewnem podziwieniem dla odwagi ich autora.

Czytając je, Robespierre tylko się uśmiechnął, ale był to uśmiech złowieszczy.

— Dzieciaku! — powiedział on, mnąc je

nerwowo w rękę i odrzucając od siebie z pogardą; — i ty... ty śmiesz występować do walki ze mną?

Prudhomme, który w tym samym czasie był redaktorem „Rewolucyi Paryskich”, i nie solidaryzując się z tymi krwawymi ludźmi, był jednak wpośród nich i znał ich dobrze, a był serdecznym przyjacielem Kamila, udał się natychmiast do niego, radząc mu zaprzestać wydawania dziennika.

— Robespierre milknie, gdy o tobie wspomnieć... strzeż się, to zły znak... przestań pisać.

— Robespierre jest moim przyjacielem — odrzekł Kamil, — gdyby mu się mój dziennik nie podobał, szczerzeby mi to powiedział. Widzieliśmy się przecież niedawno i ani o tem wspomniał... Mam nawet na dzisiejszy wieczór zaproszenie do niego, wybieramy się oboje z żoną — będę czytał mój nowy dramat. Zapewniam cię, mój drogi, że *Robespierre nie jest tyle winnym, jakby to z pozoru sądzić można*; to komitety pociągają go za sobą, tam głównych winowajców szukać należy.

W tej właśnie chwili pani Desmoulins ukazała się w gabinecie męża, a Prudhomme, sądząc, że ona łatwiej da się przekonać, powtórzył jej wszystko, co poprzednio mówił Kamilowi. Wyслуchała go uważnie, nie okazując żadnego wzruszenia, poczem odpowiedziała z całym spokojem:

— Gdyby Kamil zdolny był do zaprzestania walki z uwagi na własne bezpieczeństwo, wyrzekałabym go się natychmiast... Jemu milczeć niewolno! Wobec jęku konającej ludzkości, on mówić musi, choćby... mu to nawet śmierć przynieść miało!

I, zbliżywszy się do męża, uściśnęła go ze smutną czułością.

— Jeżeli ci umrzeć przyjdzie dla tej świętej sprawy, mój najdroższy — dodała jeszcze — pamiętaj, że umrzemy razem.

— Ależ, umierając, opuści także swój posterunek... i to już na zawsze! — zawołał Prudhomme prawie z rozpaczą.

— Trudno!... obowiązek zawsze spełnić należy, cokolwiekby nas to kosztować miało... Gdyby Kamil zaprzestał walki teraz, gdy tyrania komitetów przeszła wszelkie granice, a ich członkowie zdradzają aż nadto swoje ambitne zamiary, byłby... tchórzem, którym gardziłbym musiała, a nie kochać, tak, jak ja go kocham!

— Milcz! ach milcz! nieszczęśliwa kobieto! — zawołał Prudhomme — nie wymawiaj nigdy słów takich, nie myśl ich nawet, bo kaci, którzy nami rządzą, nawet myśl z oczu wyczytać potrafią, a nie uszanują oni niczego — ani piękności, ani umysłu, ani cnoty! nie drażnij ich więc, niech raczej o tobie zapomną.

Pani Desmoulins zapatrzyła się milcząco w przestrzeń, jakby ścigając myślą jasne obrazy minionego szczęścia; ale po krótkiej chwili podniosła dumnie głowę i, patrząc prosto w oczy Prudhomme'a, rzekła spokojnie:

— W żadnym razie ja nie umarłabym pierwsza, a po nim... sama o śmierć dla siebie poproszę — poczem rzuciła się z płaczem na szyję Kamila, powtarzając jednak wśród łez: — spełnij swój obowiązek!

Prudhomme, zmartwiony swem niepowodze-

niem, pobiegł do pani Duplessis, matki pani Desmoulins, w myśli, że może ona zdoła wpłynąć na córkę i zięcia; ale ta odebrała mu resztę nadziei. Znała ona córkę dobrze, wiedziała, jak niewzruszenie stoi przy tem, co raz za swój obowiązek uznawała; a wiedziała także, że Kamil, mając znacznie słabszy od żony charakter, ulega zupełnie jej wpływowi.

— Gdy ona powiedziała: „idź” — Kamil nie cofnie się nigdy—powiedziała smutnie.

Wiadomem jest powszechnie, jaki był rezultat tego śmiałego zwrotu w zapatrywaniach i przekonaniach Kamila!

Natychmiast po nastąpieniu aresztowaniu, żona jego udała się do wszystkich po kolei członków komitetu, naznaczonych do rozpatrywania i sądzenia sprawy i, powołując się na dawne stosunki, próbowała wyprosić uwolnienie męża. Naturalnie, wszelkie jej zabiegi pozostały bezskuteczne, co widząc, powzięła myśl rozpaczliwą zorganizowania zamachu, w celu uprowadzenia go w czasie przewożenia na szafot. Myśl była w zasadzie niezła, gdyż Kamil liczył dużo przyjaciół i zwolenników; popełniła jednak jeden wielki błąd, zawiadamiając męża listownie o akcji, jaka się gotuje. List został przejęty i zamach udaremnił; natomiast zaaresztowano ją samą i została stracona w tydzień po mężu, pod zarzutem: *zamiaru zwalenia rządów republikańskich we Francyi.*

III.

D a n t o n .

Zanim jeszcze obadwa komitety: „bezpieczeństwa” i „ocalenia publicznego”, stanowiące całą we Francyi władzę, połączyły się w jedno w osobie Robespierre’a, wysyłając na szafot wszystkich wybitniejszych członków Konwencji; zanim też Konwencya, nie zdając sobie sprawy, że popełnia właściwie samobójstwo, skazała na śmierć Żyrondę, złożoną z ludzi rzeczywiście i bezinteresownie prawdziwą wolność miłujących, próbowano kilkakrotnie utworzyć jakiś łącznik pomiędzy rozmaitemi frakcyami tego ciała prawodawczego, łącznik, któryby umożliwił wspólną pracę dla dobra kraju.

Pewnego dnia Danton, znajdujący się wówczas u szczytu potęgi, zawdzięczanej swej wspaniałej wymowie trybuna ludowego, oczekiwał wraz z innymi kolegami na otwarcie posiedzenia, przechadzając się i rozmawiając w jednej z sal pobocznych.

— Powinienbyś, obywatelu, zbliżyć się koniecznie do Żyrondy — powiedział mu jeden z obecnych i poprowadził go ku grupie Żyrondystów, którzy się tam również znajdowali.

Rozmowa popłynęła żywo z równem z obu stron zainteresowaniem, a po kilku chwilach Valazé rzekł do Dantona:

— Ani Robespierre, ani Marat nie jest dla naszego stronnictwa niebezpieczny; pierwszy jest zerem, a drugi słabym, pomimo swej pozornej

wściekłości i tej gryzącej ironii, którą nas czasem pobija... Ciebie jednego obawiamy się rzeczywiście... twoja grzmiąca wymowa, siła przekonania, z jaką rzucasz swoje argumenty na głowy przeciwników, ma w sobie coś żywiołowego, stanowi tamę, której obalić czasem niepodobna. Twe słowa porywają tłumy, każą im zapominać o wszystkich trudnościach, pod ich wpływem nawet niepodobieństw zdają się łatwymi do urzeczywistnienia. Taka właśnie powinna być wymowa trybuna ludowego w czasach burzliwych... taki tylko człowiek staje się groźnym dla przeciwników... ciebie też jednego obawiamy się naprawdę... reszta... niema żadnego znaczenia.

Zyrondysta, mówiąc to, nie dostrzegł siedzącego o kilka kroków Robespierre'a, który, pozornie pogrążony w zadumie, słyszał jednak wszystko... i każde słowo, raniące jego miłość własną, zapisywał sobie w mściwej pamięci.

Wspominałam już poprzednio, że gruntem charakteru Robespierre'a była szalona pycha i bezgraniczna ambicja, która pomimo, że zdawał sobie sprawę ze swej umysłowej niższości, kazała mu dążyć do najwyższego w kraju stanowiska. Dodajmy jeszcze do tego zawistną nienawiść względem wszystkich, którzy go w czemkolwiek przewyższali, a możemy sobie łatwo wyobrazić, jakim uczuciem przejęła go usłyszana przypadkiem rozmowa.

Od tej chwili zguba Dantona została stanowczo postanowiona; a nienawiść, jaką wzbudził, tak się stała silna, że, pomimo swej zwykłej hipokryzyi, Robespierre nie potrafił jej nawet ukrywać,

zwierając się kilku zaufanym, że „wkrótce kolos upadnie.” Jeden z przyjaciół Dantona ostrzegł go o tem, radząc zachowywanie większych ostrożności, ale Danton czuł się tak potężnym, że ostrzeżenie przyjął z uśmiechem niedowierzania, wołając swym grzmiącym głosem:

— Onby chciał ze mną walczyć?... on... gdybym mógł w to uwierzyć, to własnymi rękami wydarłbym mu serce z piersi!

W tym właśnie czasie Tallien powrócił do Paryża po zakończeniu objazdu departamentów prowincjonalnych, dokąd w pewnej misji przez Konwencyę wysłany został. Będąc czas dłuższy nieobecny w Paryżu, nie znał zupełnie panującego tu nastroju, ani wiedział o wypadkach, jakie zaszły w czasie jego nieobecności, chcąc bowiem uniknąć podejrzeń, od których nawet członkowie Konwencyi wolni nie byli, nie prowadził żadnej korespondencji, wiedząc, że ona podlega najsurowszej kontroli komitetów bezpieczeństwa. Natychmiast po przybyciu udał się do Robespierre'a, z którym łączyły go zażyłe stosunki przyjaźni i w którego czysty republikanizm wierzył niezachwianie. Był więc w rozmowie zupełnie szczerym i wyznał otwarcie, że misję jego uważać należy za chybioną, ponieważ nie wywarła tego skutku, jakiego się spodziewano, gdyż *wszelka władza nikła wobec władzy komitetów bezpieczeństwa*, prosty zatem reprezentant narodowy nie posiadał najmniejszego wpływu.

— Takie zabójcze dla wolności opanowanie władzy—mówił w dalszym ciągu Tallien—spowodowane zostało jednym wielkim błędem, ubli-

zającym poniekąd majestatowi reprezentacji narodowej. Dlaczego członkowie komitetów są nieporuszalni?... Robespierre! Jakżeś mógł na to pozwolić? ty—syn wolności! republikanin tak czysty... i wierny świętej sprawie! Jak mogłeś przyjąć urząd, który jest tylko nędzną kopią koronowanego despotyzmu?... Czyż naród dlatego tylko uciał głowę jednemu królowi, aby zrobić miejsce dla dwudziestu innych?... Pewien jestem, że ten przywilej *nieporuszalności komitetów* nie przez ciebie zaprowadzony został, ale tyś go zważyć powinien.

W ciągu całej tej rozmowy Robespierre dowiódł raz jeszcze swej nadzwyczajnej zręczności i przebiegłości, jakiej zawdzięczał dojście do tak wysokiego stanowiska. Pomimo nad wyraz trudnego położenia, w jakim go postawiły tak szczerze i bezwzględnie wyrażone zarzuty przyjaciela, potrafił jednak zachować dawny swój wpływ nad nim, zrzucając całą odpowiedzialność na kolegów, a jednocześnie insynuując konieczność tego rodzaju zarządzeń; wreszcie dodał:

— Cóż zatem radzisz, jak postąpić mamy?

— Dajcie dowód, ty, Carnot i inni, którzy wchodzicie w skład komitetów; dajcie dowód, że nie ambicya was tam trzyma, zarządzcie nowe wybory.

Robespierre uśmiechnął się z ironiczną poślizgiwością.

— Otóż to! i ty, jak widzę, przechodzisz na stronę Gminy paryskiej i innych intrygantów, pragnących zgubić Ojczyznę.

— Czegóż to pragnie Gmina paryska.

— Tego samego, czegoś i ty żądał przed chwilą... zmiany komitetów... komitetów, które jedynie zbawić mogą i... zbawią zagrożoną ojczyznę! Przeżywamy chwilę krytyczną, Tallienie, chwilę, w której sprawa wolności zginie niepowrotnie, jeżeli ster za wielu rękami powierzony zostanie. Konwencya jest stanowczo za liczną!

Tallien się wzdrygnął, co zauważywszy Robespierre, zamilkł na chwilę, poczem ciągnął dalej:

— Tak jest!.. Nie cofam tego, co powiedziałem; owszem, powtarzam to raz jeszcze: konwencya jest za liczną... skoro widzę w niej ludzi, mogących zgubić naszą nieszczęśliwą ojczyznę.

— Któż są ci ludzie? Jaka jest ich liczba?

— Za wielką bezwarunkowo... gdy na ich czele widzi się człowieka, jak Danton!

— Danton?!...

— Tak, Danton!... Czy wierzysz teraz, że Republika jest w niebezpieczeństwie i nie powinna odrzucać żadnego środka, mogącego jej dopomóc do scentralizowania władzy... skoro widzi takie odstępstwa!...

— Czy masz dowody na to, co powiadasz, Robespierre?

— A ty... czy mnie posądzasz o kłamstwo?..

— Nie! ale możesz być źle poinformowany. Tak dobry patryota, jak Danton, nie powinien być nawet w myśli przez towarzyszków posądzany, dopiero po wysłuchaniu jego samego.

Wyszedszy od Robespierre'a, Tallien, który serdecznie był do Dantona przywiązany, pobiegł

czemprędzej do niego, zapytując, jakie są ich wzajemne stosunki?

— Ależ... doskonale, — odpowiedział Danton, — mamy czasem wprawdzie małe utarczki słowne, to prawda — dodał uśmiechając się lekko, — ale to nie ma znaczenia.

— Łudziś się, nieszczęśliwy! — zawołał Tallien i powtórzył mu swoją rozmowę z Robespierrem.

Danton osłupiał!

— Gdyby mi to kto inny powiedział, nie ty, przyjacielu, zarzuciłbym mu wręcz kłamstwo! Tobie jednak wierzyć muszę i.. nie wstydę się okazać ci, jak głęboko mnie zraniło to, czego się dowiedziałem w tej chwili. Mnie podejrzawać o chęć zgubienia wolności, mnie, który ją tak szczerze, tak całem sercem miłuję! Czy wierzysz mi choć ty, przynajmniej, Tallienie?!

— Tak! ale co myślisz robić?

— Muszę zobaczyć się z Robespierrem... przekonamy się, czy ośmieli się w oczy mi to powiedzieć! Powiedz mu, że przyjdę do niego jutro o ósmej rano. O tej porze będziemy sami, nikt nam nie przeszkodzi w rozmowie. — Tallien powrócił do Robespierra i oznajmił mu życzenie Dantona, badając pilnie, jakie to wywrze wrażenie. Zamiast jednak oczekiwanego zmieszania, twarz Robespierre'a wyrażała spokój zupełny z pewnym odcieniem łaskawej wyższości. Ta mina utwierdziła Talliena w przekonaniu, że Danton nieodwołalnie jest zgubiony, próbował zatem odrazić mu ten krok, nie prowadzący do niczego, a tak bardzo ryzykowny. Za pierwszym jednak

słowem, w tej kwestyi wypowiedzianem, Danton skoczył, jak zraniony lew, wołając:

— Ja go się mam obawiać? ja!... To raczej on powinien drzeć przedemną!...

Nazajutrz, jeszcze przed oznaczoną godziną, udali się obadwaj przyjaciele do mieszkania Robespierre'a i przybyli tam w chwili, gdy on sam kończył się właśnie ubierać. Danton od razu przystąpił do rzeczy. Stanąwszy przed niedawnym towarzyszem, a obecnie zaciętym wrogiem i sędzią, rzekł poważnie i stanowczo:

— Otóż jestem... przyszedłem się dowiedzieć, co mi masz do zarzucenia?...

— Rzecz nader poważna, — odpowiedział Robespierre, — gdyż szkodzące w najwyższym stopniu całemu krajowi i sprawie wolności! Czyż nie ośmielasz się ganić rozporządzeń Komitetów i przeszkadzać im, o ile tylko możesz? Próżnobyś temu zaprzeczał, bo ja wiem dobrze, co mówię!

— Ależ w czym i kiedy?... którego dnia, gdzie, do kogo i cóż ja takiego powiedziałem, coby upoważniało do podobnych wniosków? Przytocz mi jakieś fakta, a odpowiem ci na nie szczerze i otwarcie!... Tylko oszczerstwo oskarża w sposób tak nieokreślony!

— A więc... gdy Żyrondyści... zostali słusznie ukarani, ty... ganiłeś ich skazaniem!

— Nie.

— Ale płakałeś nad ich śmiercią!

— Tak.

— Ha! więc przyznajesz się do tego!

— Dlaczegoż miałbym się tego zapierać?...

Pomiędzy nimi znajdowali się ludzie wielkiego

talentu, wielkiej zasługi i prawdziwie kochający Ojczyznę.

Na ruch Robespierre'a, wyrażający pogardę i lekceważenie, Danton powtórzył głosem grzmiącym:

— Tak, Robespierze, powtarzam to raz jeszcze: kochających Ojczyznę szczerze i z całego serca! Przytem... pomiędzy skazanymi znajdowali się młodzieńcy, prawie dzieci! Dlaczegoż było np. tracić Roger Ducos'a?

Słyszając zarzut powyższy, Robespierre zamilkł na chwilę — poczem jednak, nie odpowiadając nań wcale, ciągnął dalej, z coraz większą gwałtownością, głosem ponurym i groźnym:

— Przytem — ty podtrzymujesz moich największych przeciwników? Weźmy n. p. takiego Kamila Desmoulins, przecież jest on znanym jako taki, a ty darzysz go swoją przyjaźnią i zaufaniem.

— Drugie dziecko! — odrzekł Danton, wzdrygając ramionami.

— Niebezpieczne, szkodliwe dziecko — syknął z wściekłością Robespierre — ale... to ty niezawodnie dajesz mu rady i wskazówki co do artykułów, drukowanych w „Starym Kordelierze”. Wszystko, cokolwiek on napisze znajduje twoje zupełne uznanie; spiknęliście się obadwaj na moją zgubę!

— Tak, — odrzekł Danton poważnie; — nie pragnę wprowadzić twojej zguby, ale przyznaję, że podzielałam zdanie Kamila, gdy żąda w swoim dzienniku, aby nareszcie krew płynąć przestała... gdy nawołuje do łaskawości względem matek, żon, córek, dzieci tych, którzy już poginęli! Czyż ma-

ło jeszcze krwi zostało przelanej? Czyż cała Francja ma zostać wyludniona? O, Robespierze! pamiętaj, że przelana krew rodzi nienawiść i zemstę! i ty sam czy możesz być pewnym, że nie nadejdzie nigdy dzień, w którym zapragniesz pobłażliwości dla siebie, ty, który dzisiaj tak bezliatośnie wszystkim jej odmawiasz! I jakim czołem, w imię jakich uczuć żądałbyś jej wówczas?

Na te śmiałe słowa strach i nienawiść odbiły się na twarzy Robespierre'a, po chwili jednak odezwał się znowu:

— Nie będziesz chyba śmiał zaprzeczyć, że jesteś zwolennikiem Piotra Phélippeaux?

— Otóż to, — rzekł Danton, uśmiechając się z politowaniem, — nawet Phélippotinem mnie zrobiłeś?

Piotr Phélippeaux był deputowanym z Sarthe i należał do konwencji. Był to człowiek wielkiego talentu i gorący republikanin, który jednak opierał się całą siłą gwałtownym i okrutnym środkiem, używanym dla podtrzymania rządu terrorystycznego.

Zadenuncjowany przez Heberta do klubu Jakobinów, jako zły „patryota” i stawiony przed sądem, na akt oskarżenia, zamiast obrony, odpowiedział przeciw — oskarżeniem Roussina i Rossignola. Na razie wywarło to szalone wrażenie, ale zwolennicy jego w konwencji, z obawy przed wszechwładnym Robespierrem, opuścili go zupełnie, a że ten nienawidził go oddawna, zazdrozcząc mu talentu i wymowy, zginął zatem, jako „naczelnik” i głowa „umiarkowanych”.

Robespierre, ujrawszy uśmiech Dantona,

przyskoczył doń z uniesieniem i, patrząc mu wprost w oczy, rzekł z przyciskiem:

— Nie zaprzeczysz chyba, że podzielasz zapatrywania Piotra Phélippeaux?... Przecież z twoją wiedzą wydane zostały artykuły o Wande!?

— Robespierze!—odparł Danton, topiąc w nim nawzajem swoje potężne spojrzenie; Robespierze—ty wiesz, że ja nie kłamię nigdy. Tak! masz rację... ja doradziłem Piotrowi napisanie owej broszury... ja kazałem ją wydrukować i ja ją rozprze-strzeniałem... Trzeba nareszcie raz położyć koniec tym nieustannym jatkom w Wandeil!..

Nieszczęśliwa kraina, w której stopy toną w krwi, jęki napelniają powietrze, gdzie już zapomniano śmiać się i śpiewać! Dość już tych okropności, dość krwi i łez się polało... i dopóki żyć będę, pracować nie przestanę, wołając: dość łez, dość krwi, dość bólu i rozpacz... czas, aby radość i szczęście zapanowały we Francji! Tak, Robespierze, nie mylisz się, to ja... ja... zawsze ja!

— Tak, Dantonie, ty... zawsze ty... zawsze spiskujący!... i zmuszony do jawnego wyznania swojej zdrady!

Danton, usłyszawszy zarzut ostatni i ujrawszy wyraz zaciętej, a zadowolonej nienawiści, malującej się na twarzy Robespierre'a, zrozumiał w tej chwili dopiero, że los jego już jest rozstrzygnięty i jakaś smutna myśl wewnętrzna sprowadziła mu łzę do oka, która spłynęła zwolna po rozognionej twarzy.

Robespierre ujrzał ją i ta łza samotna, wzruszająca w swojej prostocie, u tego potwora wywołała tylko tryumfujący uśmiech na usta. Od-

wrócił głowę, rzucając znaczące wejrzenie Tallienowi, jakby mu chciał powiedzieć: czy widzisz? ten pyszny bohater poniżył się aż do łez przedemną, nareszcie go upokorzyłem!

Danton zauważył ten uśmiech, a znając dobrze niską duszę swojego ex-przyjaciela, wyprostował się dumnie i zawołał głosem piorunującym:

— Nie odwracaj głowy, to zbyt bezczelne, tak! ja płaczę i... nie wstydę się tego! Lzy moje dowodzą, że jestem człowiekiem, mam serce i duszę, których ty jesteś pozbawiony! Znając mnie, nie przypuszczasz chyba, abym płakał nad sobą!... Gdybyś ty umarł, Robespierze... umierasz cały... po tobie nic na ziemi nie pozostanie... nic... tylko haniebna pamięć twoich zbrodni, ta bowiem pozostanie na wieki. Ale ja... pozostawię tu żonę i dzieci... a jakże los je spotka?... Ja, spiskujący przeciw ojczyźnie i wolności na rzecz królów! ja—przysięgły nieprzyjaciół królewskości! to po-mysł wprost potworny w swojej głupocie! Poślijcie mnie do armii, w szeregi walczących, a tam się pokaże czy jestem spiskowcem!

Rozmowa przybierała coraz ostrzejszy charakter, zamieniając się w kłótnię osobistą. W naj-drażliwszej chwili otworzyły się drzwi, prowadzące do wnętrza mieszkania i ukazała się w nich panna Duplaix, mówiąc do Robespierre'a:

— Maksymilianie, jest tu kilka deputacyi z prowincyi, które pragną się z tobą zobaczyć, czy je przyjmiesz?

— Niech wejdą — odpowiedział Robespierre.

Tallien, słysząc to, uprowadził Dantona pra-

wie gwałtem, gdyż ten wpadł w taką wściekłość, że zamierzał rzucić się na Robespierre'a, co zagrażało mu natychmiastową śmiercią. Robespierre bowiem zawsze był uzbrojony, a w domu jego dniem i nocą czuwało na zmianę dwudziestu pięciu nędzników, nazywanych przezeń swoją „strażą przyboczną”. Robespierre, prawdopodobnie, życzył sobie takiego zakończenia rozmowy i dlatego ją w tym tonie prowadził, znając dobrze gwałtowność swego przeciwnika. Był to najłatwiejszy sposób pozbycia się Dantona pod pozorem obro-
ny przeciw zamachowi na życie dyktatora.

Proces mniej był pewny... Danton posiadał bowiem jeszcze znaczną ilość przyjaciół i zwolenników!...

Ta straż przyboczna składała się z 25 ludzi, najgorszych wyrzutków społeczeństwa, których jedynie posada, jaką zajmowali, chroniła od szubienicy; obowiązki zaś polegały na towarzyszeniu Robespierre'owi wszędzie i zawsze, w takiej odległości, aby w każdej chwili mogli mu przybyć na pomoc, w razie niebezpieczeństwa. Noce spędzali w sieni domu, zamieszkiwanego przez dyktatora, śpiąc pokotem na podłodze, ubrani i uzbrojeni.

I wierzyć tu teraz urzędowemu „Monitorowi”, który drukował na swoich szpaltach, że *Robespierre przechadzał się często samotnie po ulicach Paryża, mając za jedyną straż wdzięczność i miłość ludu francuskiego.*

Danton, wyprowadzony z domu, szedł szybko ulicą, pogrążony w głębokiem milczeniu, które Tallien potrafił uszanować, rozmyślając ze swo-

jej strony o scenie, jakiej był świadkiem i o jej skutkach... nagle stanął i chwytając gwałtownie ramię Talliena, zapytał go głosem stłumionym:

— Czy to sen, czy rzeczywistość? — słuchaj, powiedz mi szczerze, czyż ja naprawdę jestem człowiekiem zgubionym?...

— Nie, jeżeli potrafisz uprzedzić Robespierre'a... Oto właśnie dochodzimy do gmachu konwencji... wejdźmy tam... wiesz przecież ilu masz w niej przyjaciół. Przemów do nich tak, jak ty to potrafisz. Wykaż jakie zło sprowadza nienaruszalność komitetów, na którą sarka kraj cały... Mów o wymordowaniu Żyrondy... o rzeziach w Wandei... Wypowiedz wszystko jawnie, a pewien jestem, że zwyciężysz... Idźmy!...

— Jeszcze nie czas — rzekł na to Danton.

— Jakto?... nie czas!... — zapytał zdumiony Tallien.

— Tak, mój drogi... jeszcze nie czas.

— Ależ, nieszczęśliwy! jeżeli stracisz jeden dzień... co mówię dzień, tu każda minuta droga, jutro już będzie za późno! Czyż ty nie znasz Robespierre'a?... Jutro... dzisiaj może... za godzinę... człowiek ten robi to, przed czem ty cofasz się w tej chwili... i on zwycięży! Dantonie! miej litość nad sobą samym, błagam cię, nie wahaj się dłużej!...

— Jeszcze nie czas — powtórzył znowu Danton.

Zdawało się, że jakiś zły duch opanował umysł i wolę Dantona, każąc mu powtarzać te słowa złowrogie. On, zwykle tak zdecydowany, prawie zuchwały w słowach i czynach, teraz, wo-

bec groźnego niebezpieczeństwa, spędzał dnie całe beczynnie, nie podejmując nic dla odwrócenia go, nie myśląc o niem nawet. Tallien, jako prawdziwy przyjaciel, próbował go ratować, pomimo wszystko, pobiegł zatem sam do członka konwencji, Lacroix, oznajmiając mu, co się gotuje.

— Niestety! przewidywałem to oddawna— odpowiedział ten drugi, poświęcony przyjaciel potężnego trybuna;—ja sam kilkakrotnie ostrzegałem Dantona, otrzymując wzamian tę dziwną, niezrozumiałą odpowiedź. Zbyt on jest zaufany w swoje siły... nie przypuszcza, aby Robespierre ośmielił się stanąć z nim do otwartej walki... może i nie wierzy, by ktokolwiek zdołał osiągnąć jego głowy... Przedwczoraj właśnie, zatrwożony kilku słowami Saint-Justa i Henriota, udałem się do Dantona, aby go skłonić do działania; przedstawiłem mu, jak wstrętny dla kraju całego stał się ten tyran krwiożerczy... dowiodłem, że jedno słowo z ust jego wystarczy, aby go obalić... wykazałem, jakim niebezpieczeństwem grozi jemu samemu takie pozostawianie rzeczy swej zwykłej kolei; w końcu... upadłem mu do kolan... tak, do kolan... błagając, by miał litość nad sobą samym!... I cóż! jak myślisz, co mi odpowiedział ten człowiek, tak dawniej energiczny, nawet gwałtowny? „Jeszcze nie czas!...” Jakież zły duch go opętał, co mogło wpłynąć na zmianę jego usposobienia?—bo dusza i serce pozostały te same, równie gorące i szlachetne, jak dawniej! Co mówię, może nawet gorętszemi się stały... i w tem

jest źródło jego nieszczęścia. Ta inercja, ta pozorną apatya człowieka tak niegdyś czynnego, spowodowana została namiętną i czułą miłością dla żony i obawą zatrwożenia jej jakąś gwałtowniejszą czynnością. Ta miłość stanie się jego zgubą, opanowała go ona do tego stopnia, że nawet na kilka godzin rozstać się z żoną nie może. Wpatrzony w jej oczy, zapomina o wszystkim: ojczyźnie, przyjaciółach, nawet o własnem bezpieczeństwie!... Proponowałem mu ucieczkę, ofiarując się z ułatwieniem takowej, ale odrzucił ją bez wahania, gdyż żona, z powodu swego stanu, towarzyszyćby mu w niej nie mogła. Zamach stanu ocaliłby go niewątpliwie; on to wie i rozumie, ale mógłby zaniepokoić ukochaną kobietę, a tego nie chce za żadną cenę uczynić!... Oto powód prawdziwy, dla którego milczy i czeka, wmawiając w siebie i w drugih, że Robespierre na walkę się nie ośmieli.

Lacroix mówił prawdę... Danton rzeczywiście znajdował się pod wpływem jednej z tych namiętności, które, opanowawszy człowieka, paraliżują w nim wolę, odbierają rozum, decydując nieraz o jego życiu lub śmierci. Dantonowi przyniosła ona śmierć!

Tegoż samego jeszcze wieczora, jeden z woźnych Trybunału rewolucyjnego przybiegł ostrzedz go w tajemnicy, że Touquier-Tinville, oskarżyciel publiczny, dostał nakaz wygotowania jaknajprędzej aktu oskarżenia.

W konwencji i Komitecie mówiono już jawnie o aresztowaniu.

— Aresztować... mnie? — zawołał Danton, zrywając się z krzesła—to niepodobna, nie ośmiela się na to!

— Te właśnie słowa powiedział książę Gwizyusz, wchodząc do gabinetu króla Henryka III—rzekł na to Delacroix — i... nie wyszedł zeń więcej!

Ale Danton, jakgdyby chciał uragać tyranowi i okazać mu swoją siłę, udał się tegoż jeszcze wieczora na przedstawienie do Opery, gdzie zajął miejsce w małej, zamkniętej łoży. Tam dogonił go ów woźny, o którym wyżej była mowa, by mu oznajmić, że za powrotem do Trybunału znalazł rozkaz aresztowania wygotowany i podpisany, nie ma zatem chwili czasu do stracenia. Narazając się sam na groźne niebezpieczeństwo, powrócił czemprędzej do Dantona, proponując mu ułatwienie ucieczki do Romainville, gdzie posiada dom własny, w którym chwilowo bezpieczne może znaleźć schronienie.

Tak to obok potworów w ludzkim ciele, znajdowały się jeszcze w tych czasach we Francji dusze szlachetne, pełne poświęcenia!

Żona Dantona, znajdująca się z nim w teatrze, która dotąd nie wiedziała zupełnie o groźnym mężowi niebezpieczeństwie, poczęła go błagać ze łzami, aby poszedł za radą woźnego i ratował się, choćby przez wzgląd na nią.

Danton, ulegając jej prośbom, gotował się już do wyjścia... gdy inny przyjaciel, w którego towarzystwie do teatru przybyli, zaślepiony, czy może zdradliwy, począł gwałtownie ucieczkę odradzać, dowodząc: że *nie aresztuje się bezkar-*

nie takiego, jak on człowieka—„cały naród oparłby się temu!”—dodał w końcu.

— Ja to zawsze mówiłem — rzekł Danton, ściskając z wdzięcznością rękę tego człowieka, który był może Judaszem; „widzisz więc, ukochana” — dodał, zwracając się do zatrwożonej żony „że zbyt cenną jest rzeczą, bym cię miał opuszczać, bo i tutaj nic złego spotkać mnie nie może”.

Poczem, uściskawszy żonę i podziękowawszy gorąco woźnemu za jego życzliwość usiadł z powrotem na miejscu, przysłuchując się z uwagą śpiewowi artystów. Po skończonem przedstawieniu poszedł spokojnie do domu, ani myśląc o zachowaniu jakichkolwiek ostrożności. Nazajutrz rano, zanim się jeszcze obudził, już batalion wojska otoczył cały dom i aresztowanie nastąpiło.

A lud?... lud zamiast obrony, przypatrywał się tylko ciekawie widowisku, które, pomimo, że się często powtarzało, zawsze dlań było równie interesujące!

A jednak nie mylili się ci, którzy utrzymywali, że Danton jest prawdziwie i rzeczywiście kochany, i to tak dalece, że sami nawet żołnierze, przybyli dla uprowadzenia go do więzienia, robili wszystko co tylko było w ich mocy, aby mu ułatwić wymknienie się z ich rąk.

Rewidowali z niesłychaną powolnością mieszkanie, przykładali pieczęcie, przeglądali papiery w myśli, że tymczasem nadejdą obrońcy, lub też on sam zdecyduje się na ucieczkę, widząc, że już wszystko stracone!

Ale Danton, w jakimś dziwnym zaślepieniu,

uciekać nie chciał i obrońcy... nie nadeszli... chociaż powtarzam to raz jeszcze, był on naprawdę i ogólnie kochany!... Na jawną obronę nikt się zdecydować nie mógł; groza wywierana przez komitety była tak wielka, że wszelkie inne uczucia wobec niej zamierały. Wreszcie zabrano go i osadzono w Conciergerie, gdzie spotkał aresztowanych już poprzednio: Kamila Desmoulins, Piotra Phélippeaux, Lacroix, Hérault de Séchelles i wielu innych.

Słabość i apatia, jakich dał dowody przed swoim uwięzieniem i które je spowodowały, zniknęły teraz zupełnie, gdy znalazł się nareszcie twarzą w twarz ze swoimi sędziami. Obrona jego była prawdziwie wzniosłą i druzgocącą zarzuty przeciwników. Nietylko nie okazywał najmniejszej obawy, ale zmusił cały trybunał do milczenia, co więcej, wzbudził w nim taką trwogę, że prezes zażądał całej kompanii wojska, aby, jak się wyraził: „zapewnić bezpieczeństwo trybunału, zagrożonego przez tego człowieka, nawołującego naród do buntu”.

Śmierć Dantona była prawdziwie bohaterską, szczególnie w ostatnich chwilach; uściśnął żonę, zachęcając ją do rezygnacji i zachowania spokoju, ale prosząc zarazem, aby go zachowała w sercu i pamięci do czasu „gdy się znowu zobaczymy”...

Słowa te, mogące zadziwić w ustach Dantona, podyktowane mu zostały przez prawdziwe przekonanie, intuicyjną świadomość, że niepodobna, aby wraz ze śmiercią ciała, wszystko się już dla człowieka kończyło. On czuł w sobie duszę,

która wołała głośno: ja żyję i żyć będę zawsze, mnie zabić nie potraficie, bo ja jestem nieśmiertelna!

Człowiek zaś, stojący na takim, jak Danton poziomie umysłowym, nie ulegał fałszywemu wstydomi... miał odwagę przyznać się głośno do błędu, który popełniał w pełni sił i zdrowia.

Równocześnie z Dantonem straceni zostali: Kamil Desmoulins i Hérault de Séchelles, człowiek znany ze swoich krańcowych zasad republikańskich, którego jedyną winą było, że należał do sądownictwa za czasów dawnego panowania. Był on niegdyś komisarzem królewskim przy Trybunale oskarżenia publicznego po nadaniu Konstytucji w roku 1791. Jego przekonania polityczne były zawsze bardzo liberalne, niebawem też znalazł się w szeregach najgorętszych zwolenników Rewolucji i obrany został na prezydenta Konwencji. Na tem stanowisku okazał dopiero w całej pełni, jak dalece hołdował nowemu porządkowi rzeczy. W czasie pełnego posiedzenia Konwencji odczytał głośno „Prawa człowieka”, poczem raz jeszcze odczytał nadaną Konstytucję, zachęcając do pilnego jej przestrzegania. Za jego inicjatywą uchwalono doroczną uroczystość narodową w Evreux, ku uczczeniu wywalczonej wolności; a dla upamiętnienia tej uroczystości, wyposażano z funduszków publicznych sześć *młodych republikanek*, pod warunkiem wyjścia za mąż za republikanów. On-to jeszcze, będąc po raz drugi wybrany na prezydenta, odezwał się pewnego razu w Sekcji Lombardów: „cieszcie się, bracia, gdyż wkrótce nadejdzie chwila śmierci wszystkich tyranów!” Wreszcie, głosował za śmiercią Króla!

Aresztowany na skutek oskarżenia Saint-Justa, jako przyjaciel i współnik Dantona, i stawiony przed sądem, na zapytanie, czy przyznaje się do winy?—odpowiedział w te słowa:—„Na tem samem miejscu, opierałem się parlamentowi, który mnie nienawidził i prześladował! Te mury są świadkami, że broniłem zawsze interesów ludu!”

Odwaga jego w ostatnich chwilach życia okazała się równie wielką, jak reszty jego towarzyszy. Do czasu wstąpienia na rusztowanie rozmawiał spokojnie z Dantonem, a gdy uprowadzano tego ostatniego, ponieważ miał zginąć pierwszy, pożegnał go uśmiechem i słowami: „Do widzenia, mój bracie, do widzenia wkrótce!” Danton rzucił mu się na szyję, ale oprawca rozdzielił ich brutalnie.

— Dzielnie wypełniasz swoje rzemiosło, mój przyjacielu, — rzekł na to Danton, pomimo jednak całej gorliwości, nie potrafisz temu zapobiedz, aby nasze głowy dały sobie ostatni pocałunek... po śmierci!

Była to aluzja do worka skórzanego, w który kał wrzucał wszystkie głowy zaraz po egzekucyi.

Tak zginął Danton, który z powodu swej wspaniałej wymowy i wielkiej popularności był jedynym człowiekiem, ośmielającym się stawiać opór wszechwładnemu dyktatorowi i którego ten obawiał się, pomimo wszystko. Odtąd zdawało się, że nic i nikt oprzeć mu się nie zdoła!

V.

Katarzyna Théos.

Po śmierci tych nowych ofiar, Robespierre uczuł się na razie zupełnie spokojnym. Rozglądając się w otoczeniu, nie dostrzegał nikogo, kto by był w stanie pokrzyżować mu jego plany; wszystkich, kto choć cokolwiek wyrastał po nad tłum, czy to inteligencją, czy charakterem, potrafił ze swej drogi usunąć, pozostali tylko wspólnicy zbrodni i szara masa, osłupiała i drżąca.

Spokojność ta niedługo jednak trwała; niebawem przyszło zastanowienie, że i ci współnicy nie są zbyt pewni, gdyż takie mordowanie dawnych towarzyszy i przyjaciół musiało zbudzić w nich podejrzenia i nieufność; nie mając zaś wybitniejszych, na których specjalną mógłby zwrócić uwagę począł niedowierzać wszystkim.

I w rzeczy samej, śmierć Dantona i Kamila Desmoulins wywarła przygnębiające wrażenie na pozostałych przy życiu prowodyrów ruchu rewolucyjnego; przedewszystkiem zaś na Tallienie. Prosta logika wskazywała mu, że przyjdzie czas, może już niedługo, w którym Robespierre sięgnie i po jego głowę... postanowił go zatem uprzedzić! Walka pomiędzy takimi dwoma ludźmi, jak Robespierre i Tallien wymagała całej zręczności i natężenia wszystkich władz umysłowych, bo klęska była zgubą jednego, lub drugiego — chodziło tu o życie!

To przeświadczenie przygotowało katastrofę, zaszła w dniu 9-tym thermidor, a niebezpieczeń-

stwo, zagrażające pani de Fontenay, późniejszej żonie Talliena, zdecydowało o dniu katastrofy.

Na razie trudnem się zdawało urzeczywistnienie powziętego zamysłu, gdyż Robespierre wycofał się zupełnie z życia towarzyskiego, a częściej i z politycznego, nawet koledzy z komitetów nie widywali go prawie nigdy, z wyjątkiem Saint-Justa i kilku innych, najzaufańszych.

Aż dotąd, jak to już poprzednio wspominałam, przyjmował on często liczne towarzystwo, bądź to u siebie w domu, bądź też u Rose'a lub Méota, sławnych ówczesnych restauratorów, ale po śmierci Dantona stał się ponurym i zamyślonym, unikał ludzi jakby z obawy, by mu myśli i zamiarów z oczu nie wyczytano, nawet na posiedzenia Konwencji zjawiał się bardzo rzadko.

Jakaś wielka myśl kryć się zdawała pod tem bladym czołem; ale jaka?... może układał plan jakiejś wielkiej rzezi ogólnej, aby, według słów Marata „krew popłynęła strumieniem, a nie kroplami!”... Sądząc po strasznym błysku, jaki zapalał mu się czasem w źrenicach, projektowany zamiar musiał okropnością przechodzić wszystko, co się dotąd działo we Francji.

Tallien, który pilną nań zwracał uwagę, dowiedział się, że od kilku już miesięcy Robespierre stale widuje pewną kobietę, niejaką Katarzynę Theos, o której muszę tu podać kilka szczegółów, aby wyjaśnić, czem był Paryż w epoce Teroru.

Katarzyna była z zawodu kucharką... Na kilka lat przed wybuchem Rewolucji, oznajmiła ona, że miewa widzenia, w czasie których objawionem jej zostało, że: *ona to właśnie jest matką*

Boga. Czy to było zwykle kłamstwo dla zwrócenia na siebie uwagi, czy też zboczenie umysłowe—niewiadomo, ale rezultatem owych pierwszych wizji było osadzenie Katarzyny w Bastylii, gdzie przesiedziała sześć miesięcy, poczem wypuszczono ją na wolność.

Po wybuchu Rewolucji, Katarzyna, sprytna i przebiegła, rozumiała odrazu, że teraz otwiera jej się wolne pole do eksploataowania swego pomysłu i, rezygnując ze swych talentów kulinarnych, przybrała tytuł *Matki Boga* i jako taka występować zaczęła, wszedłszy w spółkę z niejakim dom Gerle, dawnym Kartuzem i ex członkiem Konstytuanty. Przedtem jednak spotkała ona na swej drodze innego jeszcze człowieka, który postanowił zużytkować na swoją korzyść szaleństwo, czy kłamstwo tej kobiety. Człowiekiem tym był Robespierre!

Znajomość zawarta została w chwili nader dla Robespierre'a poważnej, mianowicie w chwili, w której zastanawiał się na seryo, czem zastąpić swój dawny system negacyi i anarchii, widząc, że ten nadal ostać się nie może. Trzeba było koniecznie zaprowadzić jakiś porządek w kraju, jeżeli Francya nie miała zniknąć zupełnie z rzędu państw europejskich, pomimo zwycięstw naszej armii. Czyż najwspanialsze drzewo ostoi się wśród burzy, gdy rdzeń jego zostanie stoczony przez robaki?

Chcąc jakieś społeczeństwo wyprowadzić ze stanu dzikości, zaszcześcić mu kulturę i obyczaje, przedewszystkiem dajemy mu religię, jako najskuteczniejszy dla tłumu hamulec.

Francya nie była wprawdzie społeczeństwem dzikiem... ale zdziçałem... szczególnie młode pokolenie, wzrosłe wśród jęku ofiar, przyzwyczajone od najwcześniejszego dzieciństwa patrzeć i brać udział w mordach i okrucieństwach.

Dotąd uczono je nienawidzić i prześladować, trzeba było teraz nauczyć je coś kochać i szanować. Do dawnych wierzeń Robespierre powrócić nie chciał i nie mógł... ale czem je zastąpić?...

Postanowił zatem wprowadzić nowy system religijny, oczyściwszy poprzednio Konwencyę z ludzi, których podejrzewał, że projektowi jego opierać się będą; ludzi takich, jak Bourdon, Tallien i kilkunastu innych, zdecydowanych przeciwników jakiegokolwiek religii. Z zamiarami swymi nie zdradzał się jednak przed nikim, wyczekując chwili sposobnej.

Do tych celów doskonale nadawała się Katarzyna Théos; odwiedzał ją też często, pouczał i kierował jej wszystkimi krokami. Dom Gerle—naiwny, czy przewrotny, dał się łatwo przekonać, że jest synem Boga i przyjął za dobrą monetę twierdzenie Katarzyny i Robespierre'a, że ten ostatni jest synem Istoty Najwyższej!...

Konferenecye mistyczne ze współudziałem Robespierre'a odbywały się trzy razy tygodniowo u Katarzyny Théos, ale trzymane były w najgłębszej tajemnicy i obchodzone bez żadnej zewnętrznej pompy i okazałości, a wpuszczano na nie tylko najwierniejszych przyjaciół.

Gdy już wszystko ostatecznie ułożone zostało, zaczęto zwolna podnosić zasłonę, a jako próbę

wprowadzenia nowej religii ustanowiono urządzenie święto Istoty Najwyższej, śledząc bacznie, jak ta inowacya przyjęta przez ogół zostanie.

Cała w tej mierze działalność Robespierre'a może służyć za dowód, że nawet najrzęczniejszy człowiek, gdy go pycha oślepi, popełnić może błąd nie do naprawienia, pociągający fatalne za sobą skutki.

Robespierre, tak dotąd przewidujący i ostrożny, nie zastanowił się teraz, że, chcąc narzucić religię ludziom, którzy wszelką powagę zdeptali i odrzucili, należy mieć siłę do pokonania nieuniknionego w tym razie oporu. Cała zaś siła Robespierre'a polegała na poparciu tych właśnie ludzi, którzy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wszelkich sposobów użyją, aby nie dopuścić do narzucenia sobie tego, przeciw czemu dotychczas walczyli.

Usłyszawszy projekt ustanowienia nowego święta, wszyscy członkowie Konwencji otworzyli wielkie oczy... i w samym jej ciebie utworzyła się natychmiast silna opozycja, tem silniejsza, im więcej nienawidzono i obawiano się projektodawcy. Na czele tej nowej partii, powstającej powoli, lecz coraz groźniejszą przybierającej postawę, stanął Vadier, członek komitetu bezpieczeństwa, dawniej serdeczny przyjaciel Robespierre'a, z którym jednak od niejakiego czasu w bardzo złych pozostawał stosunkach.

Dowiedziawszy się o konferencyach mistycznych u Katarzyny, postanowił zbadać wszystko gruntownie, aby raz nareszcie zdać sobie sprawę, do czego właściwie dąży Maksymilian. Stanowisko,

jakie Vadier w komitecie bezpieczeństwa zajmował, dawało mu wszelkie możliwe środki, mogące to badanie ułatwić, a on skorzystał z nich bez skrupułu. Jeden z najzręczniejszych szpiegów, należycie pouczony, potrafił dostać się do domu Katarzyny, wprowadzony tam przez „wtajemniczonego”, którego potrafił przekonać, że pragnie zostać adeptem nowego wyznania. Katarzyna zajmowała duży i piękny dom przy ulicy Estrapade i tam to pewnego wieczora udał się nasz agent w towarzystwie swego patrona. Wprowadzony do mieszkania wewnętrzznego, zamkniętego dla zwykłych gości, znalazł się w wielkim i ozdobnym salonie, na którego środku stały trzy wspaniałe fotele, pokryte czerwonym aksamitem ze złotą frendzlą. Środkowy przeznaczony był dla matki Théos, drugi, po prawej stronie, dla syna Istoty Najwyższej (Robespierre'a), trzeci, po lewej, dla syna Bożego (dom Gerle).

Skoro wszyscy „wtajemniczeni” już się zebrali, inna jakaś kobieta, zwana „jasnowidzącą”, a tak stara, że można ją było wziąć chyba za matkę ojca przedwiecznego, pojawiła się w salonie, wołając tonem nosowym i przewlekłym: „Dzieci Boże! przygotujcie się do oddania hołdu Istocie Najwyższej!”

Dom Gerle siedział po lewicy matki Théos—Robespierre tego właśnie wieczoru był nieobecny.

Teraz nastąpiły przeróżne formalności, praktykowane przy przyjmowaniu nowego wyznawcy, którym był nasz szpieg właśnie; gdy zaś te przezeń dopełnione zostały, Katarzyna skinęła, aby się zbliżył i, rozkazawszy mu przed sobą uklęknąć,

wzięła jego ręce w swoje, poleciwszy powtarzać za sobą następujące słowa, będące ostateczną formułą recepcyjną „wtajemniczonych”:

— „Przysięgam podtrzymywać, rozprzestrzeniać i bronić ze wszystkich sił, aż do ostatniej kropli krwi, chwały i sprawy Istoty Najwyższej, bądź to z bronią w ręku, bądź trucizną, czy sztyłem, bądź jakimkolwiek innem narzędziem śmierci.”

Po złożeniu przysięgi, Jasnowidząca odczytała ustęp z Apokalipsy, objaśniając go i uzupełniając w sposób następujący: „Siedem pieczęci zamyka ewangelię Prawdy; pięć z nich już odjęte zostały. Bóg przyrzekł naszej matce, że objawi jej się przy zdejmowaniu szóstej. Po zdjęciu siódmej nie dziwcie się i nie trwóćcie, cokolwiekbyście zobaczyli i gdziekolwiekbyście się znajdowali, bowiem ziemia zostanie oczyszczona z nieprawych i wszyscy ludzie umrą. Tylko wybrani Matki Bożej pozostaną przy życiu... ci zaś z wybranych, którzyby przedtem wypadkiem lub wśród walki pomarli, *zmartwychwstaną, aby nieumrzeć już nigdy!*”

Następnie Katarzyna, ująwszy znowu ręce nowego wyznawcy, ucałowała go w czoło, mówiąc:

— Przyjmuję cię, mój synu, w poczet moich wybranych, będziesz nieśmiertelnym, o ile pozostaniesz wiernym swojej przysiędze!

Agent komitetu powracał jeszcze kilkanaście razy do domu Katarzyny; za każdym razem znajdował tam coraz więcej neofitów, których liczba stawała się zatrważająca. Studiował on bardzo sumiennie i gruntownie całe urządzenie i zasady

nowej religii, chodziło bowiem o to, aby być dobrze do walki przygotowanym; widział kilka razy Robespierre'a wśród wtajemniczonych, a po każdej bytności zdawał dokładną sprawę Vadierowi, który tym sposobem mógł śledzić krok za krokiem drogę, jaką przebiegał Robespierre, dążąc do nieuniknionej zguby.

Aresztowanie pani de Fontenay, przez którą Robespierre chciał trafić do Talliena, stało się hasłem wymierzenia ciosu. Matka Théos i dom Gerle zostali zadenuncjowani i uwięzieni bez uprzedniego zawiadomienia Robespierre'a, który, dowiedziawszy się o tem, poruszył wszelkie sprężyny, próbując ich uwolnić, co mu się jednak nie udało. Było to pierwsze niepowodzenie, pierwszy znak osłabienia jego wszechwładzy. Od tej chwili Robespierre nie ukazał się więcej w komitecie bezpieczeństwa, a kolegów nie przyjmował zupełnie, z czego łatwo domyśleć się mogli, jak straszna byłaby jego zemsta w razie zwycięstwa.

Zawrzała ostateczna walka, ale Robespierre przestał już wierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę, porażka w sprawie matki Théos odebrała mu zwykłą pewność siebie, począł się wahać—i to stało się przyczyną jego zguby. Gdyby nie chwiejność postępowania, jaką w tej krytycznej chwili okazał, byłby jeszcze mógł odnieść zwycięstwo, gdyż wpływ jego w owym czasie bardzo był jeszcze wielki, jak tego dowodzi fakt następujący, zaszły na kilka dni zaledwie przed aresztowaniem matki Théos, a będący doskonałą ilustracją usposobienia i nastroju Francji w epoce, gdy kilku nędzni-

ków potrafiło opanować kraj cały, niszcząc go i mordując najlepszych jego synów.

Pewna młoda dziewczyna, córka papiernika, niejaka Cecylia Renault, ładna, bogata i bardzo religijnie wychowana przez nieżyjącą już obecnie matkę, postanowiła oswobodzić Francję przez zgładzenie tyrana nią rządzącego. Nie знаła ona wcale Robespierre'a, nie widziała go nawet nigdy, ale, patrząc codziennie na łyzy i smutek osieroconych przedwcześnie matek i dzieci, słysząc jęki ofiar, tysiącami na śmierć wleczonych, egzaltowała w sobie coraz więcej uczucie nienawiści względem sprawcy tylu nieszczęść i postanowienie jej coraz więcej nabierało mocy.

— Przecież mnie osobiście nic on złego nie uczynił,—mówiła sobie nieraz—zatem ja nie nawidzieć go nie mogę; skoro zaś Bóg obudził w mem sercu tak silne pragnienie zadania mu śmierci, widać musi to być zgodne z Jego świętą wolą! Powiedział wprawdzie: nie zabijaj... ale to przykazanie stosował tylko do ludzi, zwierzęta przecież zabijać pozwolił, tembardziej... potwory!... Idźmy więc — i niech Najświętsza Matka Boża wspiera moją rękę!

W dniu 23 maja 1794 roku, wstawszy rano i zmówiwszy pobożnie pacierz, poszła Cecylia do ojca, poprosiła go o błogosławieństwo—nie wspominając dlaczego — i wyszła z domu rodzicielskiego, do którego... nigdy już powrócić nie miała.

Przybywszy do mieszkania Robespierre'a, oznajmiła pannie Duplaix chęć widzenia się z dyktatorem, do którego ma osobisty, nader pilny interes.

Panna Duplaix, przyglądając jej się z zazdrośną ciekawością, zawiadomiła ją jednocześnie, że widzenie to jest niemożliwe, gdyż Robespierre'a nie ma w domu,—a choćby nawet był,—dodała,—to naczelnik państwa nie może tracić czasu na rozmowy z pierwszym lepszym przychodniem.

— Jeżeli go teraz nie ma, to ja poczekam—odpowiedziała łagodnie młoda dziewczyna.

— Masz zatem naznaczoną audyencyę?

— Audyencyę? Nie! a czyż to potrzebne? Przecież obywatel Robespierre, jako naczelnik państwa, jest urzędnikiem, który powinien wysłuchać każdego obywatela kraju! Nasz dobry król, Ludwik święty, pod dębem w Vincennes znajdował czas nawet dla najędźniejszego z wieśniaków i wymierzał każdemu sprawiedliwość, jakkolwiek był naszym panem i królem.

Te nieostrożne słowa zgubiły ją, niestety! Wówczas niewiele było potrzeba, aby zbudzić podejrzenie!

Zaareztowano ją natychmiast i poprowadzono do Komitetu rewolucyjnego, gdzie rozpoczęło się badanie.

— Czy znasz osobiście obywatela Robespierre'a?

— Nie.

— Jaki masz do niego interes?

— To was nic nie obchodzi.

— Czyś wopiedziała, że żałujesz Kapeta?

— Tak! powiedziała, że oplakuję śmierć naszego dobrego króla... i chciałabym, żeby żył jeszcze! Czyż zamiast niego, nie mamy teraz pięciuset królów, a wszyscy pyszniejsi i despotycz-

niejsi od tego, którego zabili. Nie król, ale wy wszyscy jesteście tyranami!... Pytacie, po co szłam do Robespierre'a? Oto, chciałam zobaczyć, jak wygląda prawdziwy tyran!

— Co znajduje się w paczce, którą trzymasz w ręku?

— Moja osobista bielizna; idąc do Robespierre'a, domyślałam się, co mnie spotka i chciałam być na wszystko przygotowana.

Przetrząsnięto paczkę, w której rzeczywiście znajdowało się tylko trochę nocnej bielizny; ale po przeprowadzeniu osobistej rewizyi, znaleziono ukryty pod stanikiem duży nóż kuchenny. To było wystarczającym... sąd zebrał się natychmiast i nazajutrz rano biedna Cecylia już nie żyła!

Pomimo siły duszy, jakiej dała dowody, miała Cecylia chwilę słabości... zobaczywszy wchodzącego do więzienia ojca, starca siedemdziesięcioletniego, którego wraz z nią stracono, jako współnika. Rozpacz jej była nawet tak gwałtowna, że ojciec pocieszać ją musiał, tłómacząc, że płakać nie powinna, bo śmierć staje się niemal szczęściem, w chwili, gdy Bóg „zapomniał widać o biednej Francyi, dozwalając na tyle okropności”.

Prócz ojca, powleczono na rusztowanie całą rodzinę Cecylii, w liczbie 18 osób, pomiędzy którymi znajdowało się osiem kobiet, młodych i starych, które ścisnęły się ze łzami, dodając sobie nawzajem odwagi. Z całej rodziny pozostało przy życiu tylko dwóch braci, z których jednego—komendanta szwadronu kawaleryi za cesarstwa—znałem osobiście. Ocalenie swoje zawdzięczali oni tej okoliczności, że w tym właśnie czasie

znajdowali się w szeregach armii. Wyszeli wprawdzie rozkaz aresztowania ich i dostawienia do Paryża, ale sami oficerowie ułatwili im ucieczkę za granicę.

— Patrzcieno tylko,—powiedział Fouquier—Tinville do współtowarzyszy, widząc bohaterskie zachowanie się obwinionych;—czy spotkaliście kiedy w życiu podobne zuchwalstwo?... Zobaczmy, czy potrafią zachować je aż do końca! Muszę iść i przyjrzeć się, jak umierać będą, *choćbym nawet miał przez to spóźnić się na obiad i być głodnym!*

Dziwne czasy — dziwni ludzie... boć tenże sam Fouquier-Tinville, poza tem morzem krwi, w którym nurzał się codziennie, był człowiekiem o umyśle prawdziwie niepospolitym! Ludzie ówczesni byli jakby zac zadzeni krwią; wyegzaltowali oni w sobie uczucie okrucieństwa do ostatecznego stopnia, graniczącego niemal z obłędem; czasami zdawali się wstydić wszelkich ludzkich, łagodniejszych uczuć i karali je w sobie podwojoną dozą okropności. Owocem tej krwawej gorączki był znany ogólnie *Ojciec Duchesne!* I tak było pod każdym względem; to, co za dawnego panowania uważano za dobre i godne pochwały — teraz odrzucano bezwzględnie i bezkrytycznie, i vice versa! Obowiązkowe tykanie zepsuło język, nadając mu formy rubaszne, a dawna wytworność i elegancja, z jakiej słyneliśmy w całej Europie znana była zaledwo z tradycji.

Mylę się jednak! I teraz jeszcze spotykać było można we Francji ludzi, mogących być ozdobą każdego salonu... ale w więzieniach! Tam

rozwijalo się i kwitło prawdziwe życie towarzyskie, zawiązywały stosunki przyjaźni, czy miłości—o ile ich śmierć przedwcześnie nie przerwała. Odwiedzając trybunał rewolucyjny, aby pochwycić jakieś wejrzenie, gest pożegnalny przyjaciół, czy znajomych, dostrzegało się dopiero namacalnie tę jaskrawą różnicę, jaka zachodziła pomiędzy czystym, pięknym językiem i swobodnem, wytwornem obejściem ofiar a ordynarną rubaszością mniemanych sędziów.

Ale, co z łatwo zrozumiałą dumą zaznaczyć mogę, to, że palmę pierwszeństwa pod tym i wielu innymi względami, jednogłośnie przyznawali kobietom wszyscy, którzy te straszne czasy przeżyli. Dla usprawiedliwienia mego twierdzenia muszę tu przytoczyć kilka faktów, jakie mi się właśnie nasuwają. Weźmy n. p. panią Le Gallier, młodą i pełną wdzięku istotę, która wtrącona do więzienia spotkała tam swego narzeczonego, pana Boyer. Nie poczuwając się do żadnej winy względem panującego porządku rzeczy, wy czekaliwali niecierpliwie chwili uwolnienia, projektując połączyć się węzłem dożgonnym, skoro tylko opuszczą to straszne miejsce. Ale pewnego dnia p. Boyer wezwany został przed Trybunał rewolucyjny i narzeczoną... nie ujrzała go już więcej! Niestety swoje przyjęła zupełnie spokojnie, nikt nie zobaczył jednej łzy w jej oku, tylko tegoż samego dnia jeszcze napisała list pod adresem Fouquier-Tinville'a, w następujących wyrazach:

„Jesteście wszyscy potworami! Uwięziliście mnie bez żadnego powodu, pod pozorem, że

kocham i żałuję naszych dawnych królów! — A więc tak, kocham ich, oplakuję i przywołuję całą duszą, a was nienawidzę i przeklinam!” Jeden z jej przyjaciół, domyślając się treści listu, przejął go, wiedząc dobrze, że stałby się on dla niej wyrokiem śmierci. Po upływie dwóch dni, pani Le Callier, nie odbierając odpowiedzi, odgadła, co się stało i napisała list drugi, postarawszy się o przesłanie go inną, pewniejszą drogą. Tegoż samego wieczora, zebrawszy wszystkie listy narzeczonego, odczytała je po raz ostatni i spaliła, jak również i wszelkie po nim pamiątki, poczem resztę nocy spędziła na gorącej modlitwie. Z pierwszym brzaskiem dnia, ubrana z najwyższą elegancją, zjawiła się na wspólne śniadanie tak wesół i rozpromieniona, że wszyscy jej towarzysze niedoli patrzyli na nią z osłupieniem i obawą, przypuszczając rozstrój umysłowy. W czasie posiłku usłyszano fatalny dzwonek, zwiastujący przybycie wysłańców Trybunału. Bładość pokryła wszystkie czoła, tylko twarz pani Le Callier pozostała spokojna, a nawet rozjaśniła się jeszcze.

— To po mnie, — powiedziała z uśmiechem, — zegnaj was, moi przyjaciele! Nie uwierzycie, jak jestem szczęśliwa, opuszczając to piekło, jakim stała się nasza piękna Francja, aby połączyć się na zawsze z tym, który mnie tam oczekuje!... — Potem obcięła sobie sama włosy i, rozdawszy je współtowarzyszom, jako pamiątkę tych dni niedoli, udała się z wysłanymi po siebie zbirami do Trybunału.

Tam pokazano jej list wczorajszy, zapytując, czy to ona rzeczywiście go pisała?

— Tak jest, — odpowiedziała, — to moje pismo... nie żałuję życia, bo ojczyzna moja stała się jednym wielkim cmentarzem, zaludnionym szakalami. Niech żyje król! a śmierć wam wszystkim!

Umarła tegoż samego dnia jeszcze!

Inna kobieta, panna Delglace z Lyonu, dowiedziawszy się, że jej ojca, siedzącego w jednym z więzień miejscowych, mają przewieźć do Paryża, do Conciergerie, co równało się wyrokowi śmierci, udaje się do wysłanych po niego ludzi, błagając, aby jej pozwolili towarzyszyć ojcu. Odepchnięta brutalnie idzie pieszo za wózkiem, przygotowując dla ojca posiłki na popasach i wyprasząc od litościwych mieszkańców trochę pościeli na noclegach, spędzanych w wilgotnych i zimnych norach, do jakich na noc zamykano więźnia. Po przybyciu do Paryża, jej łzy i błagania wzruszyły nawet tygrysie serca członków Trybunału... ojciec jej ułaskawiony został!

Pełna radości, odwiozła go z powrotem do Lyonu, otaczając w drodze najczulszą opieką; ale trudy, jakie przeniosła powaliły ją na łóżko boleści i umarła w objęciach tego, którego od śmierci uratowała.

Czyn panny de Sombreuil jest zbyt ogólnie znany, abym go tu przytaczać miała; ale muszę jeszcze wspomnieć o pannie de Bérenger, dziecku czternastoletniem, która, nie chcąc się rozłączyć z ukochanymi, wiedziała, że wobec takich sę-

dziów jedno słowo jest dostateczne, aby nawet dziecko na śmierć wysłane zostało, „Niech żyje król!” zawołała i poszła wraz z drugimi na rusztowanie.

A Karolina Corday, ta szlachetna bohaterka; a Cecylia Renault, o której wyżej wspominałam! — i tyle — tyle innych!

Nagle ta czarna i krwawa chmura, spowijająca Francję całą, rozdarła się i znikła... słońce zabłysło; kraj cały odetchnął swobodnie, jak człowiek zdjęty z łoża tortur; — twarze rozbłysły uśmiechem, a zapomniane śpiewy powróciły mimowoli na usta! A przecież od wczoraj za ledwo jeden dzień upłynął... tak!... ale dzień ten był dniem 9-go thermidora!

VI.

Zabawy i uroczystości.

Gdy zastanawiam się czasami nad epoką Rewolucji i Teroru, przychodzi mi na myśl mimowoli: czy Robespierre nie był czasem wcielonym szatanem, któremu Bóg oddał czasowo rządy Francji, za winy względem siebie popełnione?

Jakżeż bo inaczej wytłomaczyć sobie ten dziwny fakt, że z chwilą jego śmierci, sami nawet współtowarzysze zbrodni, z potworów — stali się napowrót ludźmi, do których znajdowały dostęp: litość, współczucie, miłosierdzie i wszelkie inne szlachetniejsze uczucia!

System pozostał ten sam, a przecież wszyst-

ko się zmieniło! Życie odzyskało swoje prawa, ludzie poczęli go pragnąć i radować się niem po dawnemu, a objawy tej radości tem były gwałtowniejsze, im głębsza i rozpaczliwsza poprzedziła je apatya. Reakcja po tej apatyi była nawet tak silna, że ściągnęła na nas zarzut lekkomyślności; dziwiono się powszechnie, jak możemy śmiać się i weselić, gdy mogiły ofiar z 1793 roku jeszcze nie porosły trawą. Oczywiście, chwalić tego niepodobna i gdyby ta właściwość naszego charakteru wynikała z uczucia jakiegoś wrodzonego okrucieństwa, lub oschłości serca — byłaby w najwyższym stopniu naganna. Ale tak nie jest; my, Francuzi, jesteśmy dobrzy, prawdziwie, rzeczywiście dobrzy, tylko... bezmiernie lekkomyślni. Lubimy uśmiech nadewszystko i nawet z własnej boleści drwić jesteśmy gotowi, o ile dostrzeżemy w niej jakiś rys komiczny.

Gdy naprzykład taki pan de Champcenetz, po wysłuchaniu wyroku śmierci i na zapytanie Trybunału: czy nie ma czego do nadmienienia! — odpowiada: „Pragnąłbym się tylko zapytać, czy i tutaj, jak w Gwardyi narodowej, dozwolone jest zastępstwo na 24 godziny?” — jest on tylko dowcipnym i odważnym, ponieważ z własnej śmierci żartuje. Żartując tak z kogoś drugiego — byłby wstrętny!

W każdym razie, jesteśmy lekkomyślni, tego zaprzeczyć niepodobna; i tą właśnie lekkomyślnością da się wytłomaczyć ta masa zabaw i bali, w jakie obfitował styczeń roku 1795.

Wraz z chęcią do życia, odżyła także chęć do stroju i elegancji, bo i na tem polu miano

dużo do powetowania. Oczywiście i tutaj doszło wkrótce do przesady, jak to zwykle w takich razach bywa, my bowiem tak w złem, jak w dobrem, rzadko miarę zachować umiemy. Tem się tłomaczy powstanie tak nazwanych „incroyables” i „merveilleuses”—to jest elegantów i elegantek, trzymających berło mody, którzy dzisiaj byłiby absolutnie niemożliwi.

Strojono się więc i ubierano, wymyślając coraz ekscentryczniejsze mody, coraz wykwinniejsza i wspanialsza ubrania, jakgdyby dla napasienia oczu widokiem elegancji i zbytku, którego tak długo odmawiać sobie musiano. Ale nie dosyć jest piękny ubiór posiadać, trzeba, aby go miał kto podziwiać, inaczej sprzykrzy się bardzo prędko... zresztą i bawić się chciało po tym długootrwałym, przymusowym poście.

Mówiłam już poprzednio, że w ciągu ostatnich kilku lat Paryż wyludnił się zupełnie z „towarzystwa”, a ci, co pozostali, wahali się jakoś z otwarciem domu dla liczniejszych zebranych.

Wprawdzie groza nie wisiała już tak bezpośrednio nad głowami i zapomniano o niej, może za prędko nawet, gdy chodziło o oplakiwanie zmarłych... ale obawa lepszą od żalu cieszy się pamięcią... a nużby teraźniejszym trybunom przypomniały się niedawne czasy?—bezpieczniej było, bądź co bądź, nie zwracać zbyt ich uwagi na siebie!

Z tych to powodów, pomimo gorącej chęci zabawy, domy prywatne pozostały zamknięte i młodzieży groził zupełny brak rozrywek, nie z braku chęci, lecz miejsca, gdzieby zgromadzać się mogła.

Dla uniknięcia przeto ewentualnego niebezpieczeństwa, postanowiono urządzać bale publiczne, na które, idąc masą, nie byłoby się narażonym na bliższe zetknięcie z ludźmi innej sfery, bawiąc się i tańcząc tylko w swoim kółku. Chodziło jedynie o wybór miejsca i po wielu wahaniach—zdecydowano się na hotel Richelieu, położony na rogu ulicy Ludwika Wielkiego.

Bal ten, pierwszy, jaki się w tym roku odbył, nazwany został „balem Richelieu”, albo „balem ofiar”, którą to nazwę, dość dziwnie brzmiącą w rzeczy samej, wyjaśnię poniżej.

Później urządzono jeszcze drugi, w hotelu Thelusson, na ulicy Prowanckiej i nazywając go „balem Thelusson”, ale ten nigdy się taką, jak „bal ofiar” nie cieszył sławą.

Powstanie tej nazwy miało powód następujący:

W czasach, gdy cała elegancka Francja, o ile nie zginęła, znajdowała się na wygnaniu, lub w więzieniach, powstał tam, to jest w więzieniach, zwyczaj, aby kobiety obcinały sobie włosy, dla uniknięcia ręki oprawcy, w razie skazania.

Te więc, które przeżyły 9-ty thermidor, przy wyjściu na wolność znalazły się nagle bez włosów, głowiąc się niemało, czemuby tę naturalną ozdobę zastąpić. Pomiędzy nimi znajdowała się pani de Fontenay, późniejsza pani Tallien, kobieta niezwykle piękna i której w tem uczesaniu było bardzo do twarzy. Zachowała je więc nadal i wprowadziła w modę, która się szybko przyjęła i rozprzestrzeniła pod nazwą: uczesania „à la victime”.

Mnie osobiście, przykro zawsze raziła ta nazwa; słowo „ofiara”, zastosowane do mody, lub balu, zdawało mi się prawie profanacją; ale wróćmy do opisu balu ofiar, a raczej źródła, z którego ta osobliwsza nazwa wypłynęła.

Otóż, pomiędzy uczestnikami balu, znajdowały się także dwie panie, których nazwisk tutaj nie przytoczę, bo obie dotąd żyją jeszcze; jedna w towarzystwie szesnastoletniego syna, Ernesta, a druga—trzynastoletniej córki, Adeli. Spotkały się tam po raz pierwszy od czasu wybuchu Rewolucyi; ostatnie ich widzenie miało miejsce jeszcze w salonach Tuilleries, w roku 1791. Jedna powróciła świeżo z emigracyi i za powrotem nie zastała już męża, który głową przypłacił swój upór nieopuszczania kraju; mąż drugiej zginął w Quiberon.

Damy te, niegdyś przyjaciółki od serca, miały sobie, oczywiście, dużo do opowiadania i rozmawiały z wielkiem ożywieniem, oczekując na rozpoczęcie balu. W tem muzyka zagrała pierwsze takty kontredansa, a równocześnie przed Adelą skłonił się jakiś nieznany młodzieniec, angażując ją do rozpoczynającego się tańca. Młoda dziewczyna spojrzała pytająco na matkę, ta jednak, zamiast przyzwolenia, rzekła nagle:

— Bardzo mi przykro, ale córka moja już jest zaangażowana.

Młodzieniec skłonił się i odszedł, ociągając się nieco, bo dziewczynka bardzo była ładna.

— Ależ mam — odezwała się Adela — dlaczegoś mu odmówiła? wiesz przecież, że dotąd nie mam tancerza.

— Wiem o tem, moje dziecko, bądź tylko cierpliwa, niebawem ci go dostarczę—i, pochylając się ku sąsiadce, zapytała: — Czy Ernest ma już tancerkę do tego kontredansa?

— Nie... dlaczego?, w ogóle zdaje mi się, że on nie bardzo lubi taniec.

— A czy nie zgodziłby się być danserem mojej córki?

— Ależ... i owszem! Erneście, zaangażuj, proszę, pannę X.

Chłopiec nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać i wkrótce młoda para znalazła się w kole tańczących.

— Czy zgadujesz, najdroższa, dlaczego pragnęłam, aby Ernest tańczył z Adelą — zapytała pani X, pochylając się do ucha swej dawnej towarzyszki z Oeil-de-Boeuf.

— N...ie...! może dlatego, że ładną z sobą parę stanowią.

— Bynajmniej, ale dlatego, że ich ojcowie obadwaj dla króla umarli; ja zaś znajduję, że młoda dziewczyna, osierocona w ten sposób, powinna mieć za partnera tylko syna takiegoż samego męczennika!

— Ach! jakaż to myśl cudowna!—zawołała oczarowana przyjaciółka — należy ją koniecznie w czyn wprowadzić. Niestety, jest nas tu dużo w takim samem położeniu, tancerzy naszym dzieciom nie zabraknie. Chodźmy prędko rozprzestrzeniać nasz świetny pomysł.

Następny taniec został już zorganizowany według życzenia pani X., na późniejszych zaś balach wprowadzono jeszcze rozmaite ulepszenia

i poprawki. Postanowiono na przykład: że sieroty pierwszego stopnia, to jest takie, które straciły ojca lub matkę, brata lub siostrę—mają prawo do pierwszych miejsc; takie, których rodzice umarli wprawdzie w więzieniu, ale nie z ręki kata—musiały się zadawać drugiem miejscem i t. d.

Ja sama, na własne oczy widziałam owe sławne „tańce ofiar” i, jakkolwiek bardzo młoda, prawie dziecko jeszcze, uważałam zawsze ten zwyczaj za coś potwornego... ściskającego serce. A przecież te wszystkie matki nie były to istoty złe, lub okrutne... owszem, przeciwnie, niektóre nawet odznaczały się wyjątkową szlachetnością i delikatnością uczuć.

Pani de Staël, z którą nieraz w tej kwestyi rozmawiałam, była zawsze do najwyższego stopnia oburzona temi nazwami, przypominającemi ohydne zbrodnie, popełnione w imię zasad, jakie i ona wyznawała, z całą też gwałtownością swego charakteru przeciw nim powstawała, a prócz niej zwalczało je również całe grono osób, z innych wprawdzie, niż pani de Staël, powodów. Pomimo tego jednak, nazwy te utarły się i przyjęły w „towarzystwie”, tak samo, jak i moda krótkich włosów, wprowadzona przez panią Tallien, to jest uczesanie „à la victime”.

Pani Tallien tem chętniej się tej mody trzymała, gdyż uwydatniała ona w całej pełni klasyczenie piękną budowę jej głowy, czem nie wszystkie damy pochłubić się mogły. Zresztą, pani Tallien w każdym innem uczesaniu byłoby równie do twarzy, była to bowiem osoba niepośledniej uro-

dy, a przytem pełna wdzięku, o poruszeniach żywych i zręcznych.

Co mnie jednak dziwiło zawsze, to, że pomimo całej swej zręczności i żywości, pani Tallien nie tańczyła nigdy, jakkolwiek bywała bardzo dużo i nawzajem przyjmowała u siebie liczne towarzystwo w Chaillot, tak zwanej „Chacie”, gdzie zabawiano się zwykle bardzo wysoką grą w karty.

Bal Thélusson był również bardzo świetny, ale w liczbie uczestników spotkać tam było można nazwiska „nowych ludzi”, co na balach Richelieu było zupełnie wykluczone.

Wracając do „balu ofiar”, powodzenie jego przeszło wszelkie oczekiwania, pomimo, że brak gospodyni domu czynił to powodzenie trochę problematycznym; — bawiono się znakomicie, tylko ta nazwa, ta nieszczęsna nazwa!

Dziwnym my, doprawdy, jesteśmy narodem! Śmiejemy się nieraz z rzeczy poważnych, nawet tragicznych, biorąc je za przedmiot żartów i zabawy, a traktujemy prawie z namaszczeniem inne, uchodzące za bagatele w oczach każdego poważnego człowieka. Z tego to powodu ludzie, nie należący do naszej rasy, tak nas czasem fałszywie i ostro sądzą, przypisując nam wady, jakich nie posiadamy. Odmawiają nam na przykład pamięci serca, zarzucając, że przebyte cierpienia zapadają w przepaść zapomnienia, nie pozostawiając po sobie nic... nawet wspomnienia — mogącego być nauką na przyszłość. Sąd taki zdaje mi się być zbyt surowym — zapomnienie — to wyrzeczenie się przeszłości, i, co za tem idzie,

pewne zobojętnienie względem tego, co po nas nastąpi; to śmierć moralna, boć życie całe właściwie składa się ze wspomnień i nadziei... chwila obecna — to na prawdę tylko chwila i nic więcej; samą terażniejszością żyć niepodobna! My więc nie zapominamy, my tylko kochamy życie, jakimkolwiek by ono nie było, w samej nawet boleści szukamy tego, coby nam ją znośniejszą uczynić mogło, rzucając jakiś promień wesołości i swobody.

Jako pendant do „balu ofiar” opisać tu muszę inną uroczystość, ustanowioną urzędowo we Francji w roku pańskim 1793, a obchodzoną w dniu 21-go listopada, to jest 1-go frimaire, 11-go roku Republiki.

Było to *święto rozumu!*

Chcąc określić charakter tej uroczystości, nie wiem sama, gdzieby ją pomieścić? Czy to miała być uroczystość religijna, czy przedstawienie teatralne, czy zabawa ludowa? — trzeba by chyba zapytać inicjatorów, gdyż zwyczajny śmiertelnik zgadnąć tego nie potrafi. Święto rozumu przetrwało aż do czasów Dyrektoryatu, przez który zaraz w drugim roku zostało zniesione.

Bohaterką uroczystości była niejaka Zofia Momoro, żona drukarza, jednego z najgłupszych członków stronnictwa Kordelierów. Sam Momoro stanowił doskonały typ człowieka upadłego pod każdym względem i służyć może jako przykład, do jakiego stopnia zgnilizny moralnej dojść można pod wpływem takich zasad, jakim hołdowano w latach 93 i 94-ym. Zaczął on swoją karierę polityczną, jako członek komisji departamentalnej miasta Paryża i jako taki wysłany został w charakterze ko-

misarza rewolucyjnego do Wandei. Po powrocie, wybrano go na prezesa sekcji Marsylczyków i wiceprezesa Jakobinów, poczem przyłączył się do sekcji Kordelierów i był jednym z najgorętszych jej członków.

Przyjaciel od serca osławionego Ojca Duchesne (Héberta) uwieńczył swą działalność rewolucyjną wydaniem własnej żony na boginię rozumu, wreszcie... umarł na rusztowaniu, jak wszyscy prawie w owym czasie — bohaterowie — czy zbrodniarze.

Żona jego, Zofia, wybrana tedy została na główną bohaterkę owego przedstawienia, które byłoby nawet dość zabawne, gdyby nie dowodziło tak strasznego, niemal tragicznego upadku całego wielkiego narodu.

Pani Momoro — młoda, świeża i dobrze zbudowana, posiadała wszelkie warunki na *boginię rozumu*, w przekonaniu ówczesnych władców Francji... nawet — dostateczną dozę głupoty, nie dozwalającej jej dostrzedz, że ta rola, prócz ohydy i bezbożności, jest jeszcze doskonale komiczna. W razie, gdyby jakiś wypadek, nader ziemski, na przykład nadzieja przysporzenia Francji nowego obywatela, nie dozwoliła jej brać udziału w uroczystości, musiała zgodzić się na zastępstwo, na które zresztą nie było zbyt wiele amatorów, gdyż przechadzanie się w ciągu kilkunastu godzin przy 7—8 stopniach zimna — mając za całe ubranie tylko cienką krepową tunikę, nie należy do wielkich przyjemności! Honor figurowania jako bogini, musiał wynagrodzić za wszystkie inne niedogodności położenia.

Na miejsce obchoduznaczona została Katedra Notre-Dame, gdzie ustawiono dwie estrady po obydwóch stronach nawy, nad wejściem na chór olbrzymi pomost, na którym urządzono rodzaj sceny. Dekoracyi dostarczyła Opera i inne teatry, z których zbudowano rodzaj świątyni, otoczonej drzewami i przyozdobionej wieńcami z żywych kwiatów.

Świątynia wznosiła się na szczycie wzgórza, mającego być symbolem frakcyi *Góry*, na środku zaś rusztowania ułożono sztuczną skalę z zatkniętą olbrzymią zapaloną pochodnią, mającą symbolizować *prawdę*. Na frontonie świątyni widniał napis: „*Poświęcona filozofii*“, a udekorowana ona była popiersiami filozofów, znanych ze swych zasad ateistycznych, jak: Voltaire, Volney, Diderot, Fontenelle i inni.

Po obydwóch stronach pomostu stały dwie grupy ludzi: jedna złożona ze śpiewaków i śpiewaczek opery, jak Laïs, Chéron i wszystkie najwybitniejsze siły; drugą stanowił balet pod przewodnictwem pp. Vestris, Gardel i t. d.

Gdy już obie urzędowe deputacje: konwencyi i gminy miasta Paryża zajęły wyznaczone sobie miejsca, rozpoczęło się przedstawienie. Śpiewacy zaintonowali hymn, do którego słowa napisał Chénier, a baletnicy i baletniczki, wznosząc w górę trzymane w ręku wieńce, rozpoczęły tańce... ku wielkiej swej radości, gdyż mogli przynajmniej ruszać się i skakać, co przy panującym w kościele chłodzie bardzo było pożądane.

Po jakimś czasie, wśród ogłuszających okrzyków, ukazała się *bogini rozumu*, niesiona w oz-

dobnym palankinie, prawie naga, gdyż „*rozum i prawda nie lubią się ukrywać*“.

Boginię umieszczono na wielkim ołtarzu, w postawie stojącej, i tam pani Momoro-Rozum, czy też Rozum-Momoro, przyjmowała hołdy zebranych. Chmury wonnego kadzidła, palone u jej stóp, przesłaniały ją czasem przed oczyma obecných, a sto najpiękniejszych dziewcząt, ubranych w białe gazowe tuniki, z obnażonemi ramionami i piersią, i uwieńczone dębowemi liśćmi, zbiegały ze sztucznego wzgórza z palącemi się pochodniami w ręku. Wówczas bogini, zszedłszy z ołtarza, udała się do świątyni filozofii, z której wyszedłszy po jakimś czasie, zasiadła na tronie, zbudowanym z darni, dla przyjęcia hołdu zgromadzonych republikanów i republikanek, w czasie składania którego dziewczęta z pochodniami powiększyły grono baletników, otaczając płaszącem kołem boginię i jej wyznawców. Po przyjęciu hołdu, bogini powstała i powróciła do swojej świątyni.

Wówczas entuzjazm zgromadzonych doszedł do zenitu; szaleństwo ogarnęło całe tłumy, rzucano się do tańca z prawdziwą wściekłością... (może dla rozgrzania), zapominając o wszystkich różnicach towarzyskich czy społecznych, co ostatecznie nawet nikogo dziwić nie powinno w społeczeństwie, w którym pani Momoro-Rozum świeżo ubóstwioną została. Robotnice angażowały naczelników państwowych, a posługacze i ulicznicy obejmowali kapłanki rozumu, darząc je *pocatunkami pokoju!*

Po skończeniu tańca, członkowie konwencyi poprowadzili procesjonalnie boginię wraz z jej

kapłankami do gmachu obrad; i ta grupa młodych i przeważnie ładnych kobiet, aczkolwiek rozum przedstawiała, odebrała go do reszty szanownemu senatowi francuskiemu... gdyż, nie czekając dłużej, bez dyskusji i jednomyślnie uchwalono tegoż samego dnia jeszcze: zniesienie we Francji religii Katolickiej, zastępując ją *religią rozumu*, a na świątynię nowego wyznania przeznaczono katedrę Notre-Dame, dając jej nazwę: *Świątyni Rozumu*!

Znalazło się nawet kilku nędzników w sutanach, którzy, niepomni swego charakteru kapłańskiego, złożyli przysięgę nowej bogini...

Doprawdy, że nieskończenie i nie do pojęcia dobrym i cierpliwym musi być Bóg Przedwieczny, skoro ogień z nieba nie pożarł zdrajców w chwili czynu, nikczemniejszego od czynu Judasza!

Konwencya postanowiła jeszcze, że o czwartej po południu nowa deputacya jej członków uda się do świątyni, aby wziąć udział w powtórzeniu tej *wzniosłej uroczystości*!

To drugie przedstawienie zakończyło się orgią, trwającą noc całą.

Tak obchodzono *Święto Rozumu*, ustanowione przez rząd rewolucyjny dla umoralnienia i podniesienia poziomu etycznego ludu francuskiego!

Osberwując te wszystkie objawy życia społecznego w epoce Rewolucji, niejedno serce, prawdziwie kraj swój kochające, zadrżało nieraz z przerażenia, zadając sobie pytanie: czy wogóle to krwawe szaleństwo nie wywarło niezatartego piętna na charakterze całego narodu? — czy powróci on kiedykolwiek do normalnego odczuwania i objawiania swoich uczuć?!

Na szczęście, nawet w tych smutnych czasach spotykamy cały szereg przykładów, dowodzących, że pomimo wszystko, nie wygasła jednak prawdziwa delikatność uczuć, miłość serdeczna pełna czułości i poświęcenia i poszanowania tradycji.

Takim przykładem jest postępowanie margrabiego de Balincourt, serdecznego przyjaciela naszego domu; postępowanie, będące przeciwstawieniem, nie tylko już uroczystości rewolucyjnych, ale nawet owych „bali ofiar“, gdzie dzieci tańczyły na nieporosłych jeszcze trawą mogiłach ojców i matek, niby dla uczczenia ich pamięci.

Matka margrabiego była także jedną z ofiar Rewolucji. Młoda, piękna i bogata, zatem potrójna zbrodniarka w oczach zwolenników bezwzględnej równości, została aresztowana w zamku swoim w Champigny, wraz z małą, czteroletnią córeczką i zamknięta w więzieniu w Sens. Wobec wysokiego stanowiska społecznego, jakie zajmowała, proces, oczywiście, nie mógł wypaść pomyślnie, skazano ją naturalnie na śmierć. Uniknęła jednak ręki kata, umierając w przededniu egzekucji na szkarlatynę, którą się w więzieniu zaraziła.

Grabarz więzienny, pamiętny dobrodziejstw, jakie margrabina przez całe swoje życie ludności okolicznej świadczyła, nie pochował jej we wspólnym dole, jak to miał poleczone, ale, ukrywając ciało, przeniósł je później do pewnego prywatnego ogrodu, pozostawiając na palcu obrączkę ślubną, oraz mały krzyżyk ze złota i słoniowej kości, znaki, po których nawet po wielu latach tożsamość jej osoby ustalićby się dała.

Syn margrabiny, który w chwili jej aresztowania znajdował się u babki, pozostał tam już na stałe i wychowywał się w miłości i poszanowaniu dla pamięci matki-męczennicy. Doszedłszy do wieku męskiego, za pierwsze zadanie życiowe postawił sobie odszukanie zwłok matki i oddanie im ostatniej posługi, według tego, jak na to zasługiwała.

Pomimo, że w chwili jej śmierci liczył on zaledwie lat sześć, czy siedem, pamiętał matkę doskonale i, pokazując mi nieraz jej miniaturę, którą zawsze przy sobie nosił, opowiadał najrozmaitsze drobne szczegóły z jej życia, ubolewając, że wszelkie starania, przedsięwzięte w celu znalezienia zwłok, jak dotąd, pozostają zupełnie bezskuteczne.

Taki stan rzeczy przeciągał się lat kilka, nie zniechęcając wprawdzie margrabiego, ale przygnębiając go boleśnie; nagle, w chwili, gdy już zaczynał tracić nadzieję, otrzymuje list od proboszcza z Sens, ks. Carlier, syna dawnego marszałka dworu swego ojca, który z przywiązania do całej rodziny dawnych panów dopomagał mu gorliwie w poszukiwaniach, wypytując starszych wiekiem parafian o wszelkie okoliczności, towarzystwujące uwięzieniu i śmierci margrabiny. W swych wędrówkach po parafii natrafił on w jednej z uboższych chat na człowieka, nieoszacowanego w tym wypadku, gdyż był to ten sam właśnie grabarz, któremu komitet rewolucyjny polecił grzebanie skazańców i zmarłych w więzieniu ofiar. Dlatego człowiek ten, słysząc o poszukiwaniach, tak długo zachowywał milczenie, niewiadomo, może

przez brak zastanowienia, a może i obawa zamykała mu usta; dość, że zapytany przez proboszcza, opowiedział dokładnie wszystkie szczegóły śmierci pani de Balincourt, oznaczając zarazem miejsce, gdzie pochowana została.

Ks. Carlier zawiadomił o tem margrabiego, sam zaś udał się natychmiast do właściciela ogrodu, będącego, według słów grabarza, mogiłą margrabiny, prosząc go o pozwolenie na rozpoczęcie poszukiwań. Tutaj jednak spotkał go niespodziewany opór; człowiek ów oznajmił kategorycznie, że nie pozwoli na rozkopywanie swego pola!

Zawiadomiony o tej nowej przeszkodzie, margrabia wpadł w prawdziwą rozpacz, bo, dzięki krzyżykowi i obrączce, które zepsuciu uledez nie mogły, rozpoznanie ciała nie ulegało żadnej wątpliwości. Siadł tedy i napisał następujący list do upartego mieszczanina, będąc zupełnie zdecydowany wykonać wszystkie zawarte w nim groźby: „Panie! Szacunek dla umarłych i miejsce ich ostatniego spoczynku wrodzony jest wszystkim, najbardziej nawet barbarzyńskim narodom! Pragnienie syna, chcącego uczcić śmiertelne szczątki matki, byłoby zatem przez wszystkich zrozumiane i uszanowane. Przypadek, a raczej krwawa malinga minionej epoki uczyniła cię panem tego skarbu, dla mnie nieoszacowanego! Czegóż ty pragniesz? czy zatrzymać go na zawsze? dla ciebie przecież nie przedstawia on żadnej wartości, dla mnie zaś jest najdroższym ze wszystkiego na świecie! Tak, najdroższym, przyznaję to otwarcie! Nałóż zatem cenę, jaka ci się podoba, a choćby była najwyższa, natychmiast wypłacona

ci zostanie. Ostrzegam cię tylko, nie sprzeciwiaj się dłużej poszukiwaniom, bo równocześnie z tym listem, ja sam do Sens się udaję i stanę przed tobą w przeciągu tygodnia, wioząc z sobą złoto i... żelazo. Jeżeli nie zgodzisz się wydać mi ciała matki za złoto, to potrafię zmusić cię do tego żelazem."

W rzeczy samej, nie upłynął jeszcze tydzień, gdy pan de Balincourt znalazł się w Sens, wioząc z sobą, jak to zapowiedział, złoto i żelazo, przeznaczone na okup. Tam dowiedział się, że ów mieszczanin zezwolił wreszcie na poszukiwania, żądając wzamian pewnej kwoty pieniędzy, jako wynagrodzenie strat, spowodowanych rozkopaniem ogrodu. Warunek ten, oczywiście, z radością przezeń przyjęty został i rozpoczęto kopanie według wskazówek sprowadzonego grabarza. Zaledwie wierzchnia warstwa ziemi w oznaczonym przez niego miejscu odrzucona została, ukazała się trumna, po otwarciu której znaleziono szkielet z błyszczącą na palcu złotą obrączką ślubną i małym, dobrze znanym margrabiemu krzyżkiem, zawieszonym na czarnej aksamitce, dziwnym trafem nie zepsutej wcale.

Na ten widok p. de Balincourt zadrżał ze wzruszenia i, klękając u stóp trumny, oddał hołd ukochanym relikwiom, poczem zajął się zaraz przeniesieniem zwłok i urządzeniem nabożeństwa za duszę zmarłej.

Ceremonia odbyła się z nadzwyczajną okazałością; nie tylko mieszkańcy Sens, ale i wszyscy okoliczni wieśniacy wzięli w niej udział, chcąc

choć tym sposobem uczcić pamięć swej długoletniej dobrodziejki.

Po pogrzebie margrabia udał się do wspomnianego wyżej mieszczanina, niosąc z sobą umówioną kwotę.

— Przychodzę się wypłacić — powiedział, kładąc na stole worek ze złotem.

— Ależ... panie margrabio... ja nie wiem... zdaje mi się... nie! ja nie mogę tego przyjąć — odparł, jękając się, właściciel ogrodu.

— Jakto! — zawołał p. de Balincourt, zdumiony i oburzony — przecież pan sam zażądałeś takiej właśnie sumy! czyżby teraz zdawała ci się ona za małą? Jeżeli tak, to proszę, oznacz inną, ja targować się nie będę!

— Nie zrozumiałeś mnie, panie margrabio, suma jest wielka, bardzo nawet wielka, tylko ja spostrzegłem teraz jasno, jak nikczemnym jest taki handel i, proszę, zapomnij pan o tem. Doprawdy, nie mogę przyjąć tych pieniędzy, paliłyby mnie!

— Ach! dziękuję ci, drogi przyjacielu, dzięki całego serca! — zawołał p. de Balincourt. — Dziśszym twym postępkim zwracasz mi wiarę w szlachetność natury ludzkiej, o której już wątpić zaczynałem. Targ ten bolał mnie i upokarzał! Pieniądzy jednak wziąć z powrotem nie mogę; jeżeli pozwolisz, przeznaczymy je dla ubogich gminy Sens, niechaj i po śmierci błogosławią imię tej, którą oplakuję.

Tak też uczyniono, a po załatwieniu wszystkich formalności i wzniesieniu pięknego pomnika

na grobie matki, p. de Balincourt powrócił do Paryża, równie jak i dawniej do zmarłej matki przywiązany, ale nierównie spokojniejszy i szczęśliwszy, że ukochane szczątki znalazły wreszcie spokojne miejsce na swój sen ostatni, a on wie, dokąd się ma udać dla zanieśienia modłów za jej duszę.

Może za długo rozpisałam się o poszukiwaniach ciała margrabiny de Balincourt i jej pogrzebie; ale, doprawdy, ten targ z synem o wydanie ciała matki był mi zawsze specjalnie wstrętny, upokarzał mnie w mojej godności człowieka. Ceremonie pogrzebowe religii katolickiej, oddając matce-ziemi to, co w człowieku z ziemi pochodzi, wzruszały mnie zawsze do głębi i uważam je za najpiękniejsze ze wszystkich, jakimi inne wyznania swych zmarłych otaczają. Muszę tu jednak zaznaczyć rzecz, która każdego myślącego człowieka razić musi i dotykać boleśnie; równi w oczach Boga, powinniśmy być także równi wobec śmierci! Bogaty, czy ubogi, magnat, czy żebrak, ma równe prawa do błogosławieństwa i modlitwy tych, których Chrystus następcami swymi uczynił; ma równe prawa do tych kilku łokci ziemi, gdzieby oczekiwać mógł końca światów w spokoju niezakłóconym przez chciwość potomnych. Serce mi się ściska, ilekroć pomyślę o prawie, pozwalającym po latach dziesięciu niwelować mogiły tych, którzy nie opłacili się pieniędzmi. Zatem ubogi nie ma prawa do spokoju... nawet po śmierci i umierać musi z myślą, że kości jego, sprofanowane i rozrzucone, deptane będą nogą... może własnych jego dzieci!...

Starożytni, przewyższający nas pod wielu

względami, i w tem szlachetniejszymi się od nas pokazali, budując trwale dla swych zmarłych mieszkania. Przytem nie odosobniali ich tak od siebie, jak my to czynimy; lubili z nimi obcować. U Greków wszystkie grobowce znajdowały się przy drogach publicznych; Rzymianie w podobny postępowali sposób, jak tego mamy ślady w okolicach Rzymu, przy via Appia. „O śmierci! jak zdrową jest rada twoja!”—powtarzali sobie nieraz, i rady tej nie skąpili żyjącym, przypominając im nieustannie, że tu nie kres naszego istnienia.

Gdybyśmy poszli za ich przykładem, może pomiędzy współczesnymi mniej znajdowałoby się istot, tak zupełnie zapominających, że życie ziemskie krótkim jest tylko fragmentem, poza którym społeczne i majątkowe różnice znikną i rozproszą się, jak mgła w promieniach słońca!

Niewesoły był przedmiot niniejszego rozdziału, ale też i czasy, jakie opisuję, nie były wcale wesole; chociaż i wtedy zdarzały się jaśniejsze chwile, dowodzące, że nadziei nigdy i w żadnem położeniu tracić nie należy.

Takim dowodem może być historia młodej księżniczki Lubomirskiej. Dużo z żyjących jeszcze obecnie osób pamięta niezawodnie piękną księżnę Lubomirską, z domu hrabiankę Rzewuską, która, prócz piękności, odznaczała się jeszcze prawdziwą dobrocią serca, dowcipem i tym specjalnym wdziękiem, właściwym wszystkim Polkom, jakie w życiu mojem poznałam.

W chwili wybuchu Rewolucyi znajdowała się ona w Szwajcaryi, gdzie nic jej grozić nie mogło, to też przyczyna przybycia do Francyi nigdy nie

została zbadana. Może myślała, że, jako cudzoziemka, uniknie prześladowania, a może liczyła na znajomość jednego z przywódców ruchu, dość, że przybyła i zamieszkała w Paryżu.

Czy rzeczywiście służyła za pośredniczkę pomiędzy emigrantami a pozostałą w kraju garstką zwolenników dawnego systemu, czy też był to tylko pozór do aresztowania? dzisiaj sprawdzić niepodobna, dość, że pod tym zarzutem osadzono ją w więzieniu, a po kilku dniach skazano na śmierć. Usłyszawszy wyrok, księżna napisała protest do Trybunału rewolucyjnego, zawiadamiając, że znajduje się w stanie błogosławionym, a równocześnie wysłała list do Barrère'a, owego znajomego, w którym, przyznając mu się do tego kłamstwa *jako przyjacielowi*, prosi zarazem, by ją swym wpływem ratował. List ten, niewiadomo jakim sposobem (a raczej aż nadto wiadomo), dostał się w ręce Trybunału rewolucyjnego i biedna księżna zginęła na szafocie, na kilka dni przed śmiercią Robespierre'a, mając dwadzieścia pięć lat zaledwie.

Ale nie na tem koniec, księżna miała przy sobie małą, pięcioletnią córeczkę, z którą nigdy się nie rozstawała i którą, umierając, powierzyła opiece współtowarzyszek swego więzienia. Niestety, zginęły one wszystkie i biedna mała Różia, zupełnie opuszczona, tułała się po celach i korytarzach więziennych, jak mały zaginiony piesek. Wreszcie jeden z dozorców, litując się nad dzieckiem, powierzył je praczce więziennej, wraz z papierami, które dziecko po matce posiadało. Ta zacna, acz prosta zupełnie kobieta, niejaka pani

Berthot, chociaż miała pięcioro własnych dzieci, nie odepchnęła jednak sieroty i namówiła męża do przyjęcia jej za swoją. W ogóle ludzie ci nie mieli najmniejszego pojęcia o nazwisku i położeniu społecznem wychowanki; papierów nie przeglądali, może i czytać nie umieli, pokazywać zaś ich nikomu nie chcieli z obawy, by to nie sćiągnęło na nich jakiego niebezpieczeństwa; wiedzieli wprawdzie, że jest cudzoziemką, ale nie zastanawiali się nigdy z jakiego kraju do Francji przybyła i gdzie ten kraj leżeć może. Wychowywali ją zatem w rzemiośle przybranej matki.

Tak upłynęło lat kilka i zdawało się, że tak już pozostanie na zawsze, gdyż z powodu braku dobrej komunikacji i ciągłych przewrotów rewolucyjnych, oraz ostrożności wobec rozwiniętego szpiegostwa, wszelkie nowiny niełatwo wydostawały się poza granice kraju. Dopiero około roku 1796, hrabia Gabryel Rzewuski dowiedział się o śmierci siostry i prócz smutku, którym go ta śmierć przejęła, poczuł jeszcze szalony niepokój o los swej młodej siostrzenicy.

Postanowił osobiście prowadzić poszukiwania i w tym celu przybył do Paryża, gdzie dokładał wszelkich starań, aby się czegoś pewnego dowiedzieć. Wszystkie gazety ogłaszały olbrzymie nagrody za każdą, nawet najmniejszą o zaginionem dziecku wiadomość; minęło jednak sześć miesięcy i nikt się jakoś po nagrodę nie zgłaszał.

Pani Berthot gazet nie czytywała, a wszyscy inni świadkowie nie żyli; to też gdyby nie przypadek, nigdyby hrabią Rzewuski nie był na ślad siostrzenicy natrafił.

Pewnego dnia, hrabia znajdował się właśnie w pokoju, gdy weszła doń praczka, w towarzystwie małej, dziesięcioletniej dziewczynki, odoszczędzając świeżo upraną bieliznę.

— Jakież to śliczne dziecko — rzekł hrabia do swego kamerdynera po polsku, uderzony niezwykłą i delikatną urodą dziewczynki.

— Ach! pan mówi tak samo, jak moja mama — zawołała Różia ze zdziwieniem.

Usłyszawszy te słowa, hrabia pochwycił dziecko na ręce i, wpatrując się pilnie w jej rysy, wypytał panią Berthot o wszystkie szczegóły, dotyczące małej; przekonawszy się zaś z pozostałych i zachowanych przez nią papierów i pamiątek, że maleńka jest rzeczywiście córką jego ukochanej siostry, zabrał ją zaraz do siebie, proponując równocześnie pani Berthot przeniesienie się do Polski, wraz z całą rodziną.

— Jedź pani z nami — mówił on ze wzruszeniem — nie opuszczaj swej wychowanki, która ci tyle zawdzięcza, a zapewnić cię mogę, że nie pożałujesz tego nigdy.

Jakoż nie pożałowała nigdy. Otoczona szcunkiem i wdzięcznością całej rodziny hr. Rzewuskich, zamieszkała z dziećmi w ich domu, gdzie córki jej, wraz z Rózią wychowywane były i powychodziły dobrze za mąż; synowie zaś, ukończywszy uniwersytet wileński, wyrosli na dzielnych i użytecznych krajowi ludzi. Jeden z nich był adjutantem księcia Józefa Poniatowskiego. Księżniczka Rozalia Lubomirska, wyszła później za swego kuzyna, także Gabryela Rzewuskiego i w epoce kongresu wiedeńskiego była jedną z naj-

dystyngowańszych i najmiłszych kobiet, jakie znalazłam.

VII.

Barras.

Barras był jednym z nielicznych współtowarzyszów i przyjaciół Robespierre'a, który przeżył nie tylko jego i rządy przez niego zaprowadzone, ale nawet Cesarstwo i Napoleona, umarł bowiem dopiero w 1829 roku. Wszystkie zdarzenia i przewroty, na jakie patrzył i w których brał udział osobisty przeminęły jak sen i... może snem mu się czasem zdawały, gdyż, umierając, widział znowu królów na tronie francuskim, tych samych królów, jacy panowali, gdy na świat przychodził.

Pochodził on z bardzo starej rodziny, zamieszkałej od wieków w Prowancyi; tak starej, że wieśniacy okoliczni mawiali nieraz z dumą: „Barrasowie są tak dawni, jak nasze skały odwieczne”, która też otoczona była zawsze najwyższą czcią i uznaniem współobywateli. W roku 1775, mając zaledwie lat 20, wezwany został do Ile-de-France, przez swego wuja, który tam był gubernatorem; pragnąc jednak poświęcić się karierze wojskowej, wstąpił do armii i wysłany został do Indyi, w stopniu pod-porucznika.

Statek, na którym miał odpłynąć, wraz ze swoim oddziałem, stary był i dość zrujnowany, co niepokoiło mocno całą załogę, ale ani na chwilę nie zdołało odebrać dobrego humoru Barrasowi, który, wierząc w swoją gwiazdę, twierdził, że w tej

podróży nic złego spotkać go nie może. W rzeczy samej, początek drogi był bardzo pomyślny, ale zaledwie przepłynięto jej połowę, gdy wybuchła straszliwa burza i, pomimo nadludzkich wysiłków kapitana i załogi, zapędziła okręt w nieznane okolice, gdzie, uderzywszy o podmerskie skały, roztrzaskał się zupełnie i w krótkim czasie poszedł na dno. Rozbitkowie wdrapali się na owe skały, przyczynę całej katastrofy—i, trzymając ich się z niesłychanym wysiłkiem, czekali końca nawałnicy.

Tak przebyli sześćdziesiąt godzin, w czasie których kilku słabszych, czy bardziej znużonych, straciwszy władzę w zgrabiących rękach, zostało porwanych przez rozsrożone bałwany morskie.

Nareszcie burza ucichła, słońce zajaśniało, zapowiadając stałą pogodę, a lekki wietrzyk przynosił zapachy roślin i kwiatów, dowodzących, że gdzieś w pobliżu ziemia znajdować się musi, chociaż dojrzeć jej niepodobna.

— Słuchajcie przyjaciele! — zawołał Barras, widząc głuchą rozpacz i apatię współtowarzyszów niedoli—czyż beczynn timer na śmierć czekać tutaj będziemy! Przecież nie wszystko jeszcze stracone! Ziemia musi być niedaleko, a z resztek straszanego okrętu łatwo zbudujemy sobie tratwę, która nas wszystkich jako tako pomieści. Tym sposobem mamy jeszcze jakąś nadzieję ocalenia, a czekanie—to śmierć niechybna.

Z temi słowy skoczył pierwszy w morze i, po kilku śmiałych ruchach, znajdował się już na potrzaskanym statku.

Za jego przykładem poszło kilkunastu innych i wkrótce tratwa była gotowa.

W chwili siadania na tę wątłą lupinę dla puszczania się w nieprzejrzone przestwory oceanu, ludzie zawahali się znowu, ale Barras tak przekonywająco potrafił do nich przemówić, tak obrazowo przedstawił cierpienia głodu i pragnienia, jakie ich czekały na tych bezludnych skałach, że ostatecznie dwudziestu siedmiu ludzi puściło się pod jego dowództwem na poszukiwanie upragnionej ziemi. Reszta pozostała na skałach, wzięwszy tylko solenne zapewnienie od odjeżdżających, że w razie pomyślnego wyniku poszukiwań nie zostaną przez nich zapomniani.

— Jeżeli tu nie wrócimy, to... pomódlcie się za nasze dusze—dodał stary sternik, żegnając się z zostającymi towarzyszami.

Zaledwo cokolwiek od skał się oddalili, porwał ich gwałtowny prąd morski, co tak przeraziło majtków, że chcieli koniecznie na skały powrócić i ztamtąd dawać sygnały dla zwrócenia uwagi przejeżdżających statków.

Była to chwila nader dla Barrasa krytyczna, gdyż załoga tratwy poczęła szemrać i widocznem było, że niebawem przyjdzie do otwartego buntu. Wówczas ten młodzieniaszek, dziecko prawie, wyciągając szpadę z pochwy, stanął naprzeciw zbuntowanych i rzekł z naciskiem, topiąc w nich stalowe spojrzenie:

— Przysięgam, że pierwszemu, który wspomni o powrocie, utopię tę szpadę w sercu! Jeżeli wy chcecie umierać jak tchórze i głupcy, to ja

tego nie chcę! Słyszycie, *ja tego nie chcę!* Naprzód więc! Dwa luidory i ocalenie dla każdego, który mnie usłucha, a śmierć, który mi będzie nieposłusznym. Wybierajcie!

Zbuntowanych było dwudziestu siedmiu, mężczyzn dojrzałych i w sile wieku, on tylko jeden, a jednak nie zdołali mu się oprzeć.

Spuścili głowy i... popłynęli!

Po paru godzinach przekonali się, jak słuszne były spostrzeżenia młodego oficera. Przestliczna wysepka, pokryta bujną roślinnością ukazała się ich zachwyconym spojrzeniom, a całe jej wybrzeże, piaszczyste i łagodnie wzniesione pokrywał gęsty tłum krajowców, o ciemno brunatnej cerze, którzy z dziecinną ciekawością przyglądali się przybywającym. W wyrazie twarzy tych dzieci natury malowała się wesołość i łagodność, czem zachęceni rozbitkowie podwoili swoje wysiłki i wkrótce przybili do brzegu wśród radosnych okrzyków i przyjaznych gestów zgromadzonych wyspiarzy.

Natychmiast po wylądowaniu, Barras pomyślał o ratowaniu pozostawionych na skałach towarzyszków i, poszukawszy wzrokiem naczelnika plemienia, którego łatwo było poznać po pęku różnobarwnych piór, zatkniętych w bujną czuprynę, przystąpił do niego i starał mu się wytłumaczyć gestami, że druga jeszcze część rozbitków oczekuje wśród morza na ratunek.

Porozumienie nastąpiło dość łatwo, poczem na rozkaz naczelnika, wszyscy mężczyźni zniknęli nagle w pobliskim lesie, pozostawiając Barrasa w towarzystwie przyglądających mu się ciekawie

kobiet i dzieci, z czego bardzo był zadowolony, gdyż wyspiarki ładne były i dobrze zbudowane, a on wielkim wielbicielem płci pięknej, białej, czy kolorowej, barwa nie stanowiła różnicy.

Niedługo jednak mógł ich wdzięki podziwiać, nie upłynęło nawet pół godziny, gdy na morzu pojawiło się kilkadziesiąt długich, a wąskich czólenek krajowych, zwanych pirogami, gotowych do wyjazdu. Barras siadł w pierwsze z nich dla wskazania kierunku, a uspokoiwszy gestem naczelnika, który zdawał się zapytywać wzrokiem, czy statki jego nie za wątle będą do odbycia dalszej morskiej podróży, puścił się w drogę powrotną do skał przed kilku godzinami opuszczonych.

Tegoż samego dnia jeszcze wszyscy jego towarzysze uratowani zostali, przyznając teraz chętnie, jak nierozsądnem było ich życzenie wychekiwania na skałach na przejeżdżające okręty. Mieszkańcy wyspy, łagodni i weseli, przyjęli rozbitków z największą gościnnością, znosząc im w wielkiej obfitości zwierzynę i owoce i wogóle starając się dogodzić im we wszystkim. Zamieszkiwali oni w wioskach, gęsto po całej wyspie rozsianych, nie utrzymując jednak, jak się zdaje, żadnych stosunków z mieszkańcami wysp sąsiednich.

Rozbitkowie co wieczór zapalali na wzgórzu olbrzymie ognisko, zdala na morzu widoczne, jako sygnał dla przejeżdżających statków, czemu dżicy nie sprzeciwiali się bynajmniej, podsycając je owszem i utrzymując przez noc całą; we dnie zastępowano ogień rozmaitymi innymi sygnałami.

Nareszcie po miesiącu, gdy to ciągle oczekiwanie mocno już dało im się we znaki, nadjechał statek z eskadry pana de Suffren i zabrał wszystkich na swój pokład, z wyjątkiem jednego tylko człowieka, który tak sobie na wyspie upodobał, że, obawiając się, by go gwałtem nie zabrano, ukrył się w lesie, aż do chwili odpłynięcia statku. Był to młody dwudziestopięcioletni majtek, bardzo inteligentny i przedsiębiorczy; przypuszczać więc należy, że powodziło mu się tam niezgorzej, ale jakie były dalsze jego losy, niewiadomo.

Może został królikiem owej wysepki, zakładając nową panującą dynastję, gdyż mieszkańcy chętnie uznawali wyższość białych, a Barras, odjeżdżając, polecił go gorąco naczelnikowi plemienia, obdarzając na pamiątkę kilku drobiazgami europejskimi, w zamian za które zaopatrzono go obficie w zwierzynę, świeżą wodę, owoce; rzeczy bardzo dla marynarzy pożądane.

Po opuszczeniu wyspy, Barras udał się bezpośrednio do Pondinchéry, a po zdobyciu tego miasta służył pod panem de Suffren i odbył kampanię na Przylądku Dobrej Nadziei, gdzie tak się odznaczył, że został mianowany kapitanem, mając zaledwo 22 lata.

Był on wówczas człowiekiem o niezłomnej sile woli i szalonej energii, ale zarazem nieokiełznanych namiętnościach, nad którymi nie starał się nawet nigdy zapanować i które z czasem zepchnęły go z drogi, tak chwalebnie rozpoczętej i doprowadziły do zupełnego moralnego upadku.

Po powrocie do kraju podał się do dymisji

i rzucił się w wir łatwych rozrywek i życia rozpustnego, jakie było udziałem całej prawie arystokracji w przededniu rewolucji. Przystojny, bogaty i młody, a już otoczony aureolą sławy, wkrótce przesadził wszystkich swemi szaleństwami, zyskując innego jeszcze rodzaju sławę: gracza, hulaki i rozpustnika.

W tym właśnie czasie nastąpił wybuch rewolucji i Barras, wbrew swemu urodzeniu i wychowaniu, zapisał się w jej szeregi, występując od pierwszej zaraz chwili z niesłychaną gwałtownością i zajadłością.

Wybrany do Konwencji, głosował za śmiercią Ludwika XVI, a nawet on to właśnie oparł się projektowanemu przez niektórych umiarkowańszych „odwołaniu do narodu”, które prawdopodobnie byłoby króla od śmierci uratowało. W roku 1792 należał do sędziów nieszczęśliwego Dubry, a w Prowancji popełnił tyle i tak strasznych okrucieństw, że naczelnicy rządu terrorystycznego stawiali go za przykład, nazywając „najlepszym patriotą” z całej Francji. Typowy n. p. jest list jego, pisany z Tulonu do Konwencji: „Wszyscy cudzoziemcy znajdują się w więzieniach; wszyscy Francuzi rozstrzelani. Sprawiedliwość narodu wykonywana bywa codziennie”.

Z tem wszystkiem Barras niezmiennie lubił życie towarzyskie, że zaś był człowiekiem dobrze wychowanym i wykształconym, zatem salon jego był miejscem, gdzie i dzisiaj jeszcze z największą przyjemnością znaleźćby się można. Grywano wprawdzie w hazard, gdyż gra w karty była dominującą namiętnością gospodarza i różnice wy-

nosiły czasami setki tysięcy franków, ale obok tego umiano i rozmawiać, a wybór przedmiotu i sposób prowadzenia rozmowy, mogły zadowolić najwytworniejsze gusta.

Osobą, która znacznie się przyczyniała do nadania uroku tym zebraniom i której Barras pomimo swych chwilowych niewierności, pozostał wiernym wielbicielem do końca, nazywając ją zwykłe swoją „Piękną Atenką”, lub „Aspazją”, była pani Tallien, urocza i pełna wdzięku istota, której życie obfitowało w zdarzenia i przygody ciekawe, nawet na owe czasy.

Była ona rodem Hiszpanką, a całą postacią przypominała posągi starożytnej Grecji, ale obdarzone życiem, zatem o ileż od marmurowych piękniejsze. Dodajmy do tego umysł bystry i żywy, dużo wrodzonego dowcipu, któremu jednak dobroć serca nigdy w złośliwość przejść nie pozwalała, a będziemy mieli dokładny obraz pani Tallien. Nic też dziwnego, że cieszyła się ogólną sympatią, skłaniającą wszystkich do pobłażliwości w sądach, nawet takich jej postępków, które na każdą inną kobietę ściągnęłyby niezawodnie powszechną naganę i zgorszenie.

W początkach Rewolucji nie było o niej słychać zupełnie; pojawia się dopiero w roku 1792, jako owdowiała pani de Fontenay, mieszkająca w Bordeaux pod opieką brata, pana Cabarras, z którym jednak pogniewała się niebawem z powodu stosunku, zawiązanego z panem Lamothe, oficerem armii republikańskiej i dość romantycznych historii z tego wynikłych.

Po dłuższej wycieczce w Pyreneje, odbytej

w towarzystwie kochanka, leczącego się tam z odniesionej w pojedynku rany, powróciła do Bordeaux i tam zapoznała się z Tallienem, budząc w nim także same uczucia, jak we wszystkich prawie mężczyznach, którzy bliżej z nią przestawali. Za jego namową przeniosła się do Paryża, gdzie wkrótce zaaresztowana została na rozkaz Robespierre'a, który przez nią chciał trafić do Talliena, ale uprzedzony... sam to głową przypłacił; ona zaś została żoną tego ostatniego i... ukochaną przyjaciółką Barrasa!

Poznawszy mniej więcej charakter i usposobienie Barrasa, dziwić się nie możemy, że budził on zawsze najwyższe obawy w dyktatorze, dążącym przedewszystkiem do całkowitego ujarzmnienia swego otoczenia; obawy, potęgowane jeszcze zawiścią względem tego eleganckiego i pięknego potomka starożytnego rodu. Myślał też ciągle nad sposobami usunięcia go ze swojej drogi; ale tutaj natknął się na niespodziewaną przeszkodę w charakterze samego Barrasa, to jest szalonej odwadze, z jaką ten stawiał zawsze czoło każdemu niebezpieczeństwu.

Przejdźcie, jakie miał z tego powodu z Robespierrem, słyszałam z własnych ust Barrasa, który je opowiadał pani de Château-Regnault, na jednym ze swoich przyjęć w Grosbois, za czasów Dyrektoryatu.

— Skoro powróciłem do Paryża—mówił on, po załatwieniu rozmaitych spraw w Tulonie, gdzie, mówiąc nawiasem, znalazłem tyle nikczemności, że galernicy zdali mi się być najuczciwszymi ze wszystkich ludźmi i sam osobiście zmuszony by-

łem aresztować generała Brunet wśród jego armii,—sposzregłem natychmiast do czego właściwie dąży Robespierre. Pragnął on naszych głów, aby na swoją... móżdż nałożyć koronę! Robespierre królem!.. Robespierre naszym panem i władcą!..

Co za straszna ironia! Ta myśl odbierała mi sen i apetyt, była wstrętą nad wszelkie wyrazy; i, co prawda... nie ukrywałem nigdy mego pod tym względem przekonania. Robespierre naturalnie dowiedział się natychmiast o moich słowach i postanowił mnie zgubić, tak, jak zgubił Dantona i tylu innych. Ale ja ginąć nie chciałem, a miałem dużo przyjaciół, i to prawdziwych przyjaciół, a nie jakieś stworzenia, wyłowione z rynsztoka, jakimi byli zwolennicy Robespierrea. Ostrzeżono mnie o niebezpieczeństwie, doradzając ucieczkę; ja jednak postanowiłem działać inaczej—tak, aby już nigdy myśl podobna powstać mu w głowie nie mogła. Poszedłem zatem wprost do Robespierrea i powiedziałem mu tak:

— Słuchaj, Robespierze! powiedziano mi, że mnie chcesz aresztować. Nie wiem, czy to prawda, i nie pytam się o to, mówię ci tylko, że ja tego nie chcę, uważasz: *ja tego nie chcę*.

Pamiętaj więc, że przez kogokolwiek bądź i pod jakąkolwiek formą byłaby ona dokonana, każdą zaczepkę mojej osoby uważać będę za twoje dzieło i ty mi za to odpowiadać będziesz. Ty jesteś silny, to prawda, ale i ja słaby nie jestem i... gdyby przyszło do walki pomiędzy nami, kto wie na czyją stronę przechyliłoby się zwycięstwo. Ty masz popleczników i pochlebców, ale ja mam przyjaciół; jeżeli o tem dotąd nie wie-

działeś, to się zapytaj, a zobaczysz jaka jest ich liczba. Zatem powtarzam ci raz jeszcze: Strzeż się!.. bo każda zaczepka mojej osoby stanie się twoim wyrokiem!

Robespierre zbladł, a raczej zzieleniał i, zwracając na mnie swe oczy szakala, wybąkał cicho: że mogę być spokojnym; choć ja i bez jego zapewnienia byłem nim, co prawda; wiedziałem z góry, że na walkę się nie ośmieli. Muszę też przyznać, że Robespierre nie uczynił nigdy jednego kroku przeciw mnie, chociaż nienawidził mnie serdecznie, tak, jak i ja jego nawzajem; byliśmy jednak w zgodzie.

Słuchając tych słów, patrzyłam na niego ze zdumieniem, zadając sobie w duszy pytanie, co mogło tak dalece zmienić tego człowieka? Jakie wpływy, jakie siły destrukcyjne zdołały w przeciągu tak krótkiego czasu do tego stopnia osłabić i upodlić charakter pełen dzikiej prawie energii i stanowczości!

Było to w roku VIII Republiki, zatem zaledwo lat pięć upłynęło od czasów Robespierrea, a Barras, nieugięty Barras, chylił czoło przed takim Sieyèssem, godząc się na wszystko z obawy, by *nie być zmuszonym* do ustąpienia z posady Dyrektora, zapewniającej mu dużą pensję!

Nie dosyć na tem: przewidując wkrótce nowy zamach stanu, pragnął Barras, aby i ten wypadł na jego korzyść i rozpoczął pertraktacje z Ludwikiem XVIII, co do powrotu Burbonów na tron francuski, pragnąc jedynie wytargować sobie przebaczenie przeszłości, no, i coś na przyszłość; mianowicie: *indemnizacyę za straconą posadę*

dyrektora w kwocie dwunastu milionów franków! Dyrektorów było aż pięciu, a więc aż 60 milionów franków rocznie kosztowała Francję ta grupa blaznów, małpujących królewskość! Drogośmy płacić musieli za prawo pozostawania w ciężkiem i upokarzającym niewolnictwie!

Ludwik XVIII, który powinien był ze wstrętem odepchnąć samą myśl znoszenia się z mordercą swego nieszczęsnego stryja — okazał się jednak dość podłym, aby układy prowadzić i upoważnił do nich księcia Fleury — ze strony Barrasa występował Dawid Monnier. Niektórzy twierdzą wprawdzie, że Monnier działał z własnej inicjatywy, bez wiedzy Barrasa, a tylko z przyjacielskiej dlań życzliwości, jest to jednak zupełnie nieprawdopodobne i ludzie bliżej w cały przebieg sprawy wtajemniczeni, nigdy temu nie dawali wiary.

Faktem jest, że Barras sprzyjał powrotowi Burbonówi, dzięki jego współdziałaniu, wszyscy rojalści, znajdujący się we Francji, rozpoczęli gorączkową działalność, której głównem ogniskiem był, tak zwany: „Klub Clichy”

Dla łatwiejszego rozpoznawania się wśród tłumu, zaprowadzili modę, odróżniającą ich od młodzieży republikańskiej — mianowicie: szare surduty i włosy podwinięte z tyłu głowy, przypominające sławne uczesanie „à la victime”; w przeciwstawieniu do granatowych fraków i włosów „à la Titus” — noszonych przez obóz przeciwny. Spisek zataczał coraz szersze kręgi i Barras nie wątpił ani chwili o ostatecznem zwycięztwie, liczył bowiem, że Francya znużona już być musi wojną,

prowadzoną z całą niemal Europą, zatem z radością powita nadzieję pokoju.

W tem, nagle i zupełnie nieoczekiwany, pojawił się Napoleon, sprowadzony z Egiptu przez brata swego, Lucyana, który ze swojej strony zamach przygotowywał, urabiając sobie teren w „Radzie pięciuset”, do której należał.

Lucyan był wówczas dwudziestokilkuletnim młodzieńcem, którego nikt się nie obawiał, uważając za niedoświadczonego, lubiącego się bawić salonowca, który jednak biegłym się okazał dyplomata nie tylko od lekkomyślnego Barrasa i rojalistów — ale nawet od przebiegłego Sieyèsa.

Napoleon przybył do Paryża w dniu 29 vendémiaire roku VIII Republiki, to jest na 19 dni przed 18 brumaire; z początku jednak czynnie występować nie mógł, gdyż otoczony był skrytymi wrogami, jak np. Bernadotte, którzyby z pewnością pokrzyżowali byli jego plany, zazdroszcząc mu chwały i popularności.

Tak szybkie i stosunkowo łatwe przeprowadzenie całego zamachu w dniu 18 brumaire, spowodowane zostało w znacznej mierze lenistwem i niedołęztwem dyrektorów, z których dwaj, to jest Sieyès i Royer-Ducos, w ostatniej chwili zjednani zostali dla Bonapartego; reszta zaś uwięziona w swych własnych pałacach.

Pani Talien, która, kochając Barrasa w czasach jego świetności i potęgi, pozostała mu wierną i w nieszczęściu, potrafiła przedostać się przez strażę, by mu oznajmić, że na nikogo rachować nie powinien — „gdyż — dodała — słyszałam na własne uszy, że tłum, który cię uwielbiał, gdyś go

ugaszczał i zabawiał, dzisiaj... woła o twoją głowę i Bonaparte, słyszysz, Bonaparte, broni cię teraz przed jego wściekłością!

Jakież są twoje zamiary? co chcesz uczynić?...

Straciwszy władzę, staraj się przynajmniej o zachowanie sławy i honoru, gdyż to jest wszystko, co ci pozostało.

— A cóż ja mam robić?— odpowiedział Barras, wzdrygając ramionami; — ot, poproszę Bonapartego, aby mi pozwolił żyć spokojnie w Paryżu; będę chodził do opery, widywał znajomych; czyż to stolica mało dostarcza przyjemności tym, którzy mają odpowiednie fundusze? Tylko stanowczo nie dam się już wmieszać do żadnych intryg politycznych. Br.. dosyć mam tego! Teraz chcę spokojnie i wesoło przepędzić tę resztę życia, jaka mi zostaje.

Pani Tallien już... już.. miała na języku słowa, piętnujące taką małość moralną. Nie wymówiła ich jednak... poczuła głębokie politowanie dla człowieka, który podwójnie był nieszczęśliwy... bo nawet upaść nie umiał z godnością!

Tegoż samego jeszcze dnia Barras napisał list do Izby prawodawczej, którego tu nie przytaczam, gdyż ogłoszony był we wszystkich współczesnych dziennikach, a który wzbudził głęboki niesmak we wszystkich szlachetniejszych jednostkach i odebrał mu resztki szacunku współobywateli.

To wyznanie wiary, uczynione Francji republikańskiej przez człowieka, który kilka dni przedtem spiskował dla cddania jej Burbonom; te niskie pochlebstwa, skierowane do Bonapartego, o któ-

rym w przeddzień jeszcze wyraził się w sposób tak niesłychanie ordynarny, że niepodobna mi jest słów jego tutaj powtórzyć—okryły go powszechną pogardą. Napoleon rozkazał mu usunąć się do Grosbois, dokąd też natychmiast wyjechał, eskortowany w drodze przez oddział kawalerii, dodany, nie tylko dla pewności, że rozkaz został spełniony, ale i dla zabezpieczenia jego osoby wobec wzmagającego się rozdrażnienia tłumów.

Zaraz nazajutrz po wyjeździe, wniesione zostały trzy rozmaite skargi przeciw bylemu dyrektorowi: 1) o spiskowanie na korzyść Burbonów; 2) sprzyjanie rowolucyonistom terrorystycznym i 3) zamiar opanowania tronu dla siebie, korzystając z walki stronnictw. To ostatnie przypuszczenie zdawało mi się zawsze najprawdopodobniejsze; trudno bowiem znaleźć człowieka, któryby, mając władzę, rezygnował z niej dobrowolnie na korzyść drugiego. Nie należy także zapominać, że Barrasa, któremu starożytne pochodzenie nadawało ogromny „prestige” w oczach całej Francji, dzielił od tronu jeden mały krok zaledwo, a sprowadzanie Burbonów, nienawidzonych jeszcze wówczas powszechnie, narażało go na walkę i niebezpieczeństwo.

Po ustanowieniu nowej formy rządu, Bonaparte zaproponował bylemu dyrektorowi posadę ambasadora w Ameryce, lub Niemczech, za wyjątkiem Wiednia; albo udanie się do armii włoskiej; obie jednak propozycje zostały przezeń odrzucone, gdyż, jak mówił: „pragnie pozostać beczynnym”. Wówczas pierwszy konsul, przenikając tajemne zamiary Barrasa, rozkazał mu opu-

ścić Paryż i zamieszkać najmniej w czterdziestomilowej od stolicy odległości.

Barras wyjechał do Brukseli, prowadząc tam dom prawdziwie po książęcemu i pozostawał tam do roku 1813, w którym to roku prosił Napoleona o pozwolenie powrotu do Ojczyzny. Cesarz, znajdujący się wówczas u szczytu potęgi, nie odmówił mu tej łaski i... zblądził, bo Barras, powróciwszy, zaczął natychmiast spiskować, a dowody jego winy były tak niezbite, że po raz drugi został skazany na wygnanie i wyjechał do Rzymu, skąd powrócił dopiero w r. 1814, jako śmiertelny nieprzyjaciół cesarza.

Stosunek tych dwóch ludzi może nam służyć za naukę, jak nigdy lekceważyć nie należy nieprzyjaciela, choćby on był najnędrniejszym, bo i czołgająca się po ziemi żmija nawet króla stworzenia życia pozbawić może.

Taka była wdzięczność Barrasa za uratowanie mu życia w dniu 18 brumaire, gdy, oburzony jawną zdradą lud, domagał się jego głowy!

Niektórzy utrzymują, że Barras był protektorem Napoleona, za przyczyną żony tegoż, Józefiny Beauharnais, którą, jakoby, znał poprzednio i która go z Napoleonem zapoznała.

Twierdzenie to zawiera w sobie dwa kłamstwa. Przedewszystkiem Napoleon znał dobrze Barrasa, zanim jeszcze przedstawiony został pani de Beauharnais, późniejszej żonie swojej, zaznajomili się bowiem jeszcze w Tulonie, gdzie po aresztowaniu Bruneta, główne dowództwo nad wojskami powierzone zostało generałowi Bonaparte, jako *najzdolniejszemu* ze wszystkich oficerów ar-

mii republikańskiej. Z tego orzeczenia widać jasno, że w sferach rządzących opinia co do Napoleona była już ustalona, zanim mógł na nią wpłynąć Barras, który go jeszcze nie znał; i w tem leży drugie kłamstwo potwarców Napoleona i Józefiny.

Zresztą, Barras, zostawszy dyrektorem, zaniebdał zupełnie sprawy państwowe, spędzając dnie i noce na hulankach i rozpuście, nie troszcząc się wcale kto i jak rządzi, wpływ jego był też bardzo ograniczony; Bonaparte zaś liczył bardzo wielu zdolnych i poświęconych sobie zwolenników. Po Restauracyi, Barras osiedlił się w Chaillot i, usuwawszy się już stanowczo od życia publicznego, przyjmował znajomych i przyjaciół, jakich do końca życia zachować potrafił, dzięki dobremu wychowaniu, dowcipowi i elegancji, czyniących towarzystwo jego miłym dla każdego.

Prowadząc dom otwarty, nie zapraszał jednak nigdy więcej jak dwanaście osób równocześnie, twierdził bowiem, że większa ilość biesiadników psuje ten zespół, jaki w dobranem towarzystwie panować powinien.

Umarł w 1829, jak to już wspominałam i śmierć jego byłaby przeszła zupełnie niepostrzeżenie, gdyby nie głupota, czy niezręczność ministrów Karola X, którzy, złamawszy pieczęcie sądowe, zabrali papiery przezeń pozostawione, upoważniając tym sposobem do snucia najrozmaitszych, a dla rządu ujemnych wniosków i domysłów. Podobny nietakt popełniono już raz, po śmierci Cambacérèsa, ale tym razem wywołało to znacznie większy skandal, gdyż wytoczony został pro-

ces o zgwałcenie pieczęci, w czasie którego tłomaczono się „koniecznością wydobycia ważnych papierów państwowych z czasów Dyrektoryatu, niesłusznie przez Napoleona pozostawionych Barrasowi”. Oczywiście, nikt temu nie uwierzył, gdyż mniemanie, że cesarz mógł takie papiery pozostawić w rękach człowieka, którego uważać musiał za osobistego swego nieprzyjaciela, nie miało najmniejszego sensu i budziło tylko uśmiech politywania u słuchaczy.

W 1816 r. ukazały się dwa tomy pamiętników pod tytułem:

„Miłostki i awantury wicehrabiego de Barras”, ale jest to tylko nędzna kompilacja nieprzyzwoitych anegdotek i awantur, bez jednego słowa odnoszącego się do ważnych wypadków, jakie wstrząsnęły do głębi całym krajem, zmieniając jego ustrój państwowy, a w których Barras tak przeważny brał udział.

Ostateczny sąd o Barrasie nie może wypaść pomyślnie, był to człowiek mały, bardzo nawet mały; — niemniej nazwisko jego znajdzie się zawsze na kartach naszej historii, związane jest bowiem ściśle z historią Wielkiej Rewolucji. Wygłaszano najrozmaitsze zdania o jego charakterze; gdy jedni wychwalali go w sposób nieumiarkowany, inni potępiali bezgranicznie; — mnie się zaś zdaje, że tak pochwały, jak i nagany, były mocno przesadzone.

Bezwarunkowo był to człowiek o wielkiej energii, wielkiej odwadze i wielkiej sile charakteru, ale... miał małą i nędzną duszę i dlatego upadł haniebnie.

VIII.

Wieczór u pani de Staël.

Pani de Staël jest osobą, której życie całe przedstawia niesłychany interes dla badacza epoki rewolucyjnej, gdyż brała ona bardzo znaczny udział we wszystkich ważniejszych zdarzeniach politycznych, wpływając na nie silnie, tak z powodu swoich genialnych zdolności, jak i zapału, z jakim zasady swoje wygłaszała. Przez cały czas Rewolucji zamieszkiwała stale Francję, z wyjątkiem tylko dwóch lat, to jest 93 i 94, które spędziła w Szwajcaryi, przerażona obrotom, jaki przybrał ruch wolnościowy we Francji.

Po śmierci Robespierre'a powróciła zaraz do Paryża, gdyż, jak to nieraz mawiała, „nie może żyć zdala od ukochanej ojczyzny”. Przywiązanie do kraju było w niej tak ekskluzywne, że przebywanie po za Francją, a w szczególności Paryżem, uważała za kompletne wygnanie i dusza jej zamierała niejako z tęsknoty za atmosferą ukochanego miasta. Śmiano się i żartowano często z jej słów, wypowiedzianych do jednego ze znajomych, gdy ten, wpatrując się w śliczny widok nad jeziorem Genewskiem, gdzie się właśnie znajdowali, począł głośnie swój zachwyt wyrażać, zwracając uwagę pani de Staël na poszczególne piękności krajobrazu.

Zawołała ona wówczas z niecierpliwością i rozdrażnieniem:

— Ach, dajże mi pan pokój z temi wszystkimi pięknościami! Dla mnie są one martwe

i zimne i gdyby mi dano do wyboru, to wolałabym nawet małe, smutne mieszkanko, przy najnędzniejszej ulicy mego drogiego Paryża, jak najwspanialszy pałac tutaj, gdzie się czuję tak obcą.

Pani de Staël miała naturę nawskroś kobiecą, o sercu stworzonym do miłości, ogarniającem wszystkich i wszystko, co ją otaczało; wyrwana ze swego środowiska, cierpiała boleśnie, tracąc wszelką do życia ochotę.

Znałam ludzi, utrzymujących, że ani z serca, ani z urodzenia nie była ona prawdziwą Francuzką, że pod względem zdolności nie dorównywała takiej pani Sand, na przykład, i inne, tym podobne, niedorzeczności.

Daleką jestem od ubliżania sławie pani Sand, którą z zupełną słuszością uważać można za jednego z najznakomitszych naszych beletrystów, ale zdolności tych dwóch kobiet tak bardzo były odrębne, że niepodobna ich nawet porównywać, co zaś do uczuć patryotycznych, to dałby Bóg, aby wszyscy Francuzi posiadali je w takim stopniu, jak ta niby nie-Francuzka.

Gawędy takie uważać trzeba za nędzne insynuacje, podyktowane niską zawiścią względem wszystkiego, co wyrasta ponad przeciętną miernotę szarego tłumu.

Powodem, nadającym pewne cechy prawdopodobieństwa zarzutowi nie-francuskiego pochodzenia pani de Staël było, że, jakkolwiek ona sama urodziła się w Paryżu, rodzice jej, państwo Necker, rzeczywiście ze Szwajcaryi pochodzili.

Baron Necker, dawny minisier finansów z czasów Ludwika XVI, był następcą po panu de Clu-

gny, któremu pierwotnie przydany został jako pomocnik, z powodu słabości zdrowia tego ostatniego. Posadę swoją zawdzięczał wpływowi margrabiego de Pezay, z którym był w wielkiej przyjaźni, a który, nie mogąc liczyć na niczyją protekcję, postarał się w sposób nader dowcipny i charakteryzujący ducha czasu, o zwrócenie na siebie uwagi i pozyskanie wpływu na umysł panującego.

Margrabia de Pezay, młody, ambitny, a niemający, pragnął koniecznie odegrać jakąś wybitną rolę w polityce, zając wysokie stanowisko, jednym słowem, zrobić karierę. W tym celu pisywał listy do rozmaitych monarchów europejskich, jak Fryderyka W., Katarzyny II, Józefa II, podając im projekty przeróżnych reform i inowacyi do zaprowadzenia w swoich państwach.

Listy, oczywiście, pozostały bez odpowiedzi, co wprawdzie zniechęciło go do szukania szczęścia po za Francją, ale nie odebrało upartej woli dojścia do zamierzonego celu.

Napisał tedy jeden jeszcze list do Ludwika XVI i, przekupiwszy lokaja, niejakiego Louvain'a, sprząającego zawsze pokoje królewskie, polecił umieścić go w miejscu tak widocznem, aby nie mógł ująć uwagi królewskiej.

List, napisany pięknym stylem i ozdobnym charakterem pisma (a był to nader cenny przymiot w oczach Ludwika XVI), został przezeń przeczytany, że zaś podpisu nie posiadał, zaciekał i zaintrygował go niezmiernie. Znajdowała się w nim prośba, by król „jeżeli myśli tu zawarte zdołały zainteresować światły umysł Waszej Królewskiej Mości”, raczył dać jakiś znak autorowi,

naprzykład, trzymając chustkę w ręku w czasie podniesienia na jutrzejszej mszy św. w kaplicy pałacowej.

Ludwik XVI, czując się trochę osamotnionym wśród swojego dworu, do którego czuł wstręt nienawidził i unikał go, ile tylko mógł, nudził się nieraz śmiertelnie; był zatem zachwycony tą nową rozrywką, wyobrażając sobie, że, może to jakiś duch opiekuńczy, jakiś przyjaciel szczerzy i bezinteresowny, który dlatego nieznany pozostać pragnie, aby tem skuteczniej mógł mu rad swoich udzielać.

Oczywiście więc, nazajutrz, nie tylko w czasie podniesienia, ale w ciągu całej mszy chustka nie opuszczała ręki królewskiej, napawając radością serce tajemniczego korespondenta.

Wkrótce pojawił się nowy list i zawiązała się regularna, zawsze równie dla króla interesująca, aczkolwiek jednostronna korespondencja. Listy zawierały uwagi i zdania publiczności o zarządzeniach administracyjnych, szczegóły i anegdoty o ludziach, należących do dworu królewskiego, o członkach arystokracji angielskiej i austriackiej, a wszystko przeplecione delikatnem pochlebstwem, jak bardzo szczęśliwym czuje się autor, mogąc je pisać, gdyż on nigdy niczego więcej nie pragnął, jak możliwości przysporzenia chwili wytchnienia i rozrywki ukochanemu władcy, będącemu najdoskonalszym wzorem człowieka, szlachcica i pana. Zapewniał przytem, że o ile ta korespondencja dłużej potrwa, to on, autor, postara się o *peu* pewne a *poufne* informacje o wszystkich współczesnych

panujących, ich dworach, zamiarach i t. p.; dalej o członkach parlamentu francuskiego, ministrach, biskupach, literatach, jednym słowem, wszystkich, których życie i przekonania króla interesowałyby mogły; wreszcie zaproponował królowi ułatwienie znajdowania się „niewidziany i incognito” w towarzystwach tajnych i zamkniętych, których opinie i zamiary dobrzeby poznać było dla bezpieczeństwa państwa, naturalnie, o ile król życzyć sobie tego będzie.

Można sobie wyobrazić zachwyt Ludwika XVI, który, korzystając z wiadomości tajemnie sobie dostarczanych, mógł nieraz zadziwić swój dwór i ministrów, głowiących się nadaremnie, kto go mógł tak dobrze o wszystkim poinformować.

Po jakimś czasie zainteresowanie króla wzrosło do tego stopnia, że zapragnął koniecznie dowiedzieć się coś więcej o autorze listów i, przelatawszy pana de Sartines, naczelnika policyi, rozkazał mu kategorycznie postarać się o odkrycie go.

Podejrzenia padły na najrozmaitsze osoby, z których jedne wyparły się stanowczo wszelkiego w korespondencji udziału, inne zaś, ze względów karyery, pozwoliły ugruntować się podejrzeniu, ale bliższe badania wykryły ich podstęp.

Wreszcie pan de Pezay, widząc, że żelazo rozpalone już jest do białości, postanowił skorzystać ze swoich długich i zręcznych zabiegów i... dozwolił agentom pana de Sartines wpaść na ślad swojej osoby, ku wielkiej radości króla, mocno zaniepokojonego tem długiem incognito, przy-

puszczał bowiem, że tajemniczy korespondent pochodzi ze sfery, uniemożliwiającej umieszczenie go na dworze.

Margrabia de Pezay, raz odkryty, mógł teraz liczyć prawie na pewno, że król darzyć go będzie bezgranicznem zaufaniem, a wpływ jego wkrótce stanie się prawie wszechwładnym.

Król, dowiedziawszy się nazwiska swego korespondenta, napisał doń własnoręcznie, oznajmiając, że „listy pańskie podobały mi się nad wszelkie wyrazy” i, polecając pisywanie ich w dalszym ciągu, ale nadmieniając zarazem, że chciałby poznać autora osobiście.

Wówczas margrabia, chcąc ujawnić swój tryumf w oczach całego dworu, w nowym liście poprosił króla, aby, wracając z niedzielnego nabożeństwa w kaplicy pałacowej, raczył zatrzymać się w pewnym, z góry oznaczonym korytarzu, a rozkaz jego spełniony zostanie.

Król zaintrygowany i ciekawy, jak może wyglądać ów tajemniczy przyjaciel, przystał chętnie na żądanie i następującej niedzieli, ku osłupieniu całego dworu, zatrzymał się nagle przed stojącym na uboczu, mało komu znanym młodzieńcem i, porozmawiawszy z nim kilka minut głosem przyciszonym, polecił mu iść za sobą do prywatnego swego gabinetu.

Tam zatrzymał go przeszło godzinę na rozmowie, a zachwycony eleganckim wyglądem, oraz płynną, a gładką wymową margrabiego, powiedział doń nareszcie:

— Muszę koniecznie przedstawić pana memu staremu przyjacielowi, który, pewien tego je-

stem, z przyjemnością tę znajomość powita. Wejdz pan na chwilę za ten parawan, chciałbym bowiem naprzód go powiadomić, kogo tu zobaczy.

Pan de Pezay ukrył się za parawanem, a król, poleciwszy zawołać pana de Maurepas, mającego swój apartament tuż obok królewskiego, jako najzaufańszy powiernik i doradca, odezwał się do wchodzącego:

— Polecilem cię przywołać, drogi przyjacielu, dla przedstawienia ci mego tajemniczego korespondenta, o którym rozmawialiśmy nieraz!

— A którego Wasza Królewska mość nigdy mi pokazać nie raczył—odparł stary minister tonem mruklwym.

— Nie mogłem, mój przyjacielu, nie mogłem... byłem związany słowem, a wiesz przecież, że dla mnie słowo dane jest święte. Dzisiaj jednak poznasz go osobiście.

I, biorąc za rękę margrabiego, wyciągnął go z za parawanu i postawił przed panem de Maurepas.

— Boże Wielki! więc to on?—zawołał zdumiony minister, na widok kłaniającego się głęboko pana de Pezay.

— Niech wasza królewska mość darować mi raczy—rzekł ten ostatni—że w jego obecności innemu człowiekowi oddaję hold, swemu władcy należy jedynie, ale pan de Maurepas jest moim chrzestnym ojcem.

— Czy podobna?—zawołał król zdziwiony.

— Tak, w rzeczy samej, jestem jego chrzestnym ojcem—odpowiedział pan de Maurepas, głosem tak zgębnym, że tak król, jak i margrabia

nie mogli się wstrzymać od śmiechu. I rzeczywiście, trudno było nie roześmiać się szczerze na widok osłupiałej miny starego lisa dyplomatycznego, wyprowadzonego w pole przez młodzika, którego aż dotąd uważał za takiego dzieciaka, że wzbraniał się nieraz powierzyć mu redakcję zwykłego, nic nieznaczącego raportu ministerialnego.

Pan de Maurepas ukrył starannie ranę, zadaną swej miłości własnej, a nawet w obecności króla obsypał chrześniaka pochwałami i zapewnieniami przyjaźni i życzliwości, ale gdy po wyjściu z Tuilleries znaleźli się już sami na ulicy, aby razem do domu powrócić, zatrzymał się nagle i, patrząc z urazą na pana de Pezay, rzekł:

— I to ty prowadziłeś tajemną z królem korespondencję! ty! ty!...

Poczem gestem petetycznym wzniosł w górę oczy i ręce, jakby niebo chciał brać na świadka tej monstrualnej niesprawiedliwości, jaka go spotkała.

Ostatecznie, z wolą, czy bez woli starego dworaka, wpływ pana de Pezay stał się faktem dokonanym, o czym przekonać miano się wkrótce, gdy na jego życzenie dano dymisyę pomocnikowi ministra finansów, księdzu Terray, mianując na jego miejsce barona Necker, protestanta, ku oburzeniu całego wyższego duchowieństwa francuskiego.

Oburzenie było tak silne, że arcybiskup Paryża udał się osobiście do pana de Maurepas z wymówkami i żądaniem cofnięcia nominacji; na co ten odpowiedział:

— Ależ i owszem, monseigneur, z przyjemnością, bo i ja... nie kocham go wcale; ale... zapłaćcie wprzód dług państwowe.

Trzeba bowiem wiedzieć, że kasa państwowa była wówczas zupełnie wyczerpana, a Necker przedstawił plany, pozwalające pomyśleć nie tylko o spłaceniu zaciągniętych zobowiązań, ale nawet przyrzekł dostarczyć funduszy na prowadzenie ewentualnej wojny. Jakoż i dostarczył ich! (Była to wojna o niepodległość Ameryki).¹

Co mnie zawsze dziwiło, to, że pan de Pezay sam dla siebie nie zapragnął nigdy tego stanowiska? Chociaż, co prawda, dostał i on doskonałą posadę: generalnego inspektora wybrzeży francuskich z pensją 60,000 franków rocznie.

Wybór pana Neckera okazał się bardzo szczęśliwym krokiem; był to najzdolniejszy finansista od czasów Colberta, to też, gdy pan de Clugny, nominalny minister finansów, stary i schorowany, umarł wkrótce, baron Necker zajął jego miejsce.

Prócz zdolności finansowych, Necker odznaczał się jeszcze żywą wyobraźnią i głęboką nauką, wogóle był człowiekiem światłym i godnym najwyższego szacunku. Jedno tylko miałabym mu do zarzucenia, mianowicie pochlebstwa, jakich nie szczędził panu de Pezay, chociaż może to była tylko taka przyjaźń egzaltowana, zaślepiona nawet na, widoczne dla innych, wady przyjaciela.

Zasady, przez pana Neckera wyznawane, były nawskroś postępowe, a w wydanych przez niego broszurach, odczuwało się zapowiedź blizkich, a nieuniknionych przewrotów społecznych i ekonomicznych.

Miał też na dworze cały zastęp zaciętych nieprzyjaciół, którzy starali się usilnie, choć tajemnie, zdyskredytować go w opinii króla, przedsta-

wiając w sposób nader groźny jego dążenia przewrotowe.

Nieugiętość i brak pobłażliwości wobec najmniejszego nadużycia; zimne obojętne i pewna wyniosłość w postępowaniu, przyczyniały się także niemało do tej ogólnej niechęci, jaką otaczali go dworacy Ludwika XVI. On jednak, ani słowem, ani piórem nie mścił się nigdy za urazy osobiste i, przeglądając kiedyś jego pisma w dużych trzech tomach zawarte, nie znalazłam ani jednej wycieczki w stronę tych, którzy z taką nienawiścią szarpali jego sławę.

Ignorował ich poprostu!

Umiał jednak nienawidzić, a nawet mścić się krwawo za krzywdy, wyrządzone tym, których kochał, jak to okazał później, powodując haniebny upadek pana de Sartines, za zgubienie w umyśle króla margrabiego de Pezay, co spowodowało śmierć tego ostatniego. (Przypisek: p. de Pezay tak się zmartwił niełaską królewską, że zachorował i trzeciego dnia umarł).

Na czele nieprzyjaciół Neckera stał hrabia d'Artois, brat królewski i pan de Maurepas, który nie mógł mu darować, że wszedł do ministerium za pośrednictwem znenawidzonego margrabiego de Pezay.

Zawrzała tedy walka między dwoma obozami: nieprzyjaciół i zwolenników Neckera, gdyż miał on i gorących zwolenników, pomiędzy którymi w pierwszej linii znajdowały się margrabina de Coigny, hrabina de Simiane, księżna de Grammont i de Choiseul i wiele innych. Że zaś kobiety pa-

nowały w salónach i wytwarzały opinię publiczną, wpływu ich lekceważyć nie było można.

Opinia publiczna jest szaloną, acz niepochwytą siłą, na którą oglądali się zawsze najwybitniejsi ludzie każdej epoki. Ludwik XIV obawiał jej się, może najwięcej ze wszystkiego; XV i XVI, wypytawali o nią drobiazgowo i często swoje postępowanie odpowiednio stosowali, sam nawet Napoleon nie był na głos opinii obojętny.

Dzisiaj opinia dużo na swojej sile straciła, co przypisuję przede wszystkim zanikowi życia towarzyskiego we Francji.

Córki nasze są królowami bez koron, nie zdającymi sobie nawet sprawy, jak niepowetowaną stratę poniosły!

Ale i dzisiaj nawet, słysząc kogoś mówiącego, że: „nic sobie nie robi z tego, co o nim mówią”, mam ochotę zarzucić mu kłamstwo!

Nikt obojętnie nie znosi słowa, a nawet wyrzeczenia pogardliwego i choćby ono nawet zasłużone nie było, odbiera jednak pewność siebie i wywołuje zniechęcenie.

Przekonałam się także, że nieraz ludzie, którzy, ufni w swoje stanowisko, czy majątek, lekceważą opinią i urągają jej niby, po jakimś czasie starają się usilnie naprawić w jakikolwiek sposób ujemne wrażenie, jakie wywołali, udając naprzekład filantropów i przyjaciół ludzkości, a wszystko to dla zatarcia w pamięci ludzkiej swych czynów dawniejszych.

Pani Necker, córka pastora z okolic Genewy, religijna i bardzo pobożna, była to czysta i szlachetna istota, pełna współczucia dla każdego

cierpienia, niezdolna do uczucia nienawiści, czy zemsty. Męża uwielbiała bezgranicznie, a córkę kochała czule, chociaż z tą ostatnią nie rozumiały się nigdy, gdyż gwałtowność pani de Staël zawsze przykro raziła matkę, uważającą łagodność i równowagę za najpierwszą zaletę charakteru kobiety. Pani Necker była bardzo wątpa i słabowita, a tak nerwowa, że jednej chwili nie mogła spokojnie usiedzieć na miejscu, co w znacznej mierze utrudniało utrzymywanie licznych stosunków towarzyskich. Na przyjęciach, jakie się u niej odbywały, nie siadała n. p. nigdy do stołu z zaproszonymi, tylko, przechadzając się po salonie, zabawiała gości rozmową. Zwyczaj ten trochę z początku dla gości krępujący, po jakimś czasie przestawał razić zupełnie, bowiem rozmowa pani Necker była zawsze nad wyraz interesująca, gdyż obok dowcipu posiadała jeszcze dużo inteligencji i niepoślednie wykształcenie.

Mąż szanował i kochał ją z całego serca, wysoko cenił jej zdanie i nieraz ulegał jej wpływowi, jak to się okazało, gdy nakłoniła go do proszenia o dymisyę, z powodu przerażenia, jakie ją ogarnęło na wieść o pojedynku, wywołanym dyskusją co do jego działalności.

W tej rozmowie z mężem okazała się prawdziwie wzniosłą, przekonywując go, że krew ludzka za drogim jest okupem za najświetniejszą nawet karierę i że człowiek szlachetny szczęśliwszym czuć się będzie, żyjąc w zupełnem nawet zapomnieniu, aniżeli z takim na sumieniu ciężarem.

Necker podał się do dymisji, która po krótkim ze strony króla wahaniu... przyjętą została; ale

wzburzenie, jakie wskutek tego na ulicach Paryża wybuchło, przybrało nader groźne rozmiary, stając się pierwszym dla rządu ostrzeżeniem, jak niebezpiecznym jest iść wbrew uczuciom całego narodu. Przerażony król chciał cofnąć swoją decyzję, niestety pan de Maurepas potrafił go przekonać, że krok ten żadnych dalszych następstw nie wywoła, a Ludwik XVI, dobry wprawdzie, ale słaby i niezdecydowany człowiek, własnego zdania i woli mieć nie umiał.

Nie dosyć na tem; zawistny i mściwy starzec pragnął przy tej sposobności zemścić się na Neckercie za mniemane upokorzenie, jakiego z jego powodu doznał i, przybywszy do ministerium, oznajmił mu brutalnie, że król daje mu dymisyę, ponieważ żaden minister, z wyjątkiem pana de Castries, pracować z nim nadal nie chce.

Necker, spojrzawszy z politowaniem na rzucającego się w swej bezsilnej wściekłości starca, powiedział zimno: „Szczęśliwy jestem, że dopełniłem danej przy obejmowaniu teki, obietnicy; długi zostały spłacone i skarb państwa zostawiam zapełniony”.

Nazajutrz napisał krótki bilet do króla bez żadnego nagłówka i adresu, w następujących wyrazach:

„Rozmowa, jaką wczoraj miałem z panem de Maurepas nie dozwalała mi ani chwili dłużej zwłóczyć ze złożeniem powierzonej sobie teki wręce królewskie. Boli mnie to bardzo, ale inaczej być nie może!

Mam nadzieję, że wasza królewska mość raczy zachować w pamięci te kilka lat gorliwej,

i w rezultatach pomyślnej, pracy, jakie przy Nim spędziłem, szczególnie zaś wspomnienie poświęcenia, z jakim byłem, jestem i będę na zawsze. Necker.

Na wiadomość o dymisji, cały szereg najwybitniejszych członków arystokracji, jak książęta: Orleański, Kondeusz, de Conti i wielu innych, złożyli Neckerowi kondolencyjne wizyty, ubolewając nad tem, co się stało, ganiąc krok królewski i przewidując bardzo złe i smutne tego kroku następstwa; a wzburzenie na ulicach stolicy tak było wielkie, że król na seryo począł myśleć o przywróceniu do władzy oddalonego ministra, w czem podtrzymywał go usilnie pan de Castries. Tym razem, projektowi oparł się pan de Vergennes, minister spraw zagranicznych; a król?... biedny król!... albowiem on wiedział dobrze, czego chce właściwie? Wszyscy za niego rządili, a on potem za wszystkich odpokutować musiał!

Ale te kwestye należą już do historii; mnie tymczasem czas powrócić do pani de Staël, o której zbyt długo zapomniałam, chcąc wyjaśnić, w jakiej atmosferze i pod jakimi wpływami wzrastała ona.

Po śmierci Robespiera, pani de Staël powróciła natychmiast do Francji i zaprowadzenie Dyrektoryatu powitała z nadzwyczajną radością i entuzjazmem, jako zapowiedź nowego i trwałego porządku społecznego.

Szczęście, jakim przejęła ją możność powrotu do kraju, oddychania znowu powietrzem ojczystem po dwuletniem prawie oddaleniu, odebrało jej trzeźwy sąd o rzeczy i zaślepiło do tego stopnia,

że nie dostrzegała wcale, jak niegodne i przedajne są te rządy i jak bardzo nieszczęśliwy czuje się naród, gnębiony i wyzyskiwany w imię wolności, tak samo, jak nim był w imię króla.

Że tak było w rzeczy samej, łatwo się przekonać można, przeglądając urzędowego „Monitora” i inne współczesne dzienniki. Iluż to ludzi rozstrzelanych, lub wygnanych zostało z granic Francji w tym czasie! Ile krwi i łez płynęło jeszcze ciągle, chociaż ohydne sceny mordów nie odbywały się już z taką, jak za Teroru, jaskrawością!

Pomimo to jednak, życie towarzyskie zaczęło się z wolna rozwijać, ludzie zbierali się znowu dla rozmowy, lub zabawy, chociaż zebrania te dziwne miały charakter, gdyż Francja nie posiadała wówczas tego, co zwykle nazywamy „dworem”, to jest reprezentantów rządu, a co nadaje ton i zabarwienie całemu życiu towarzyskiemu jakiegoś narodu.

Dyrektorowie nie urządzali przyjęć i nie bywali u nikogo z wyjątkiem tylko najbliższych znajomych i rodziny.

Taki stan rzeczy ma swoje złe i dobre strony, jak wogóle wszystko na tym świecie; tutaj dobre przeważały, z tego mianowicie powodu, że „towarzystwo” czuło się tym sposobem o wiele swobodniejsze, gdyż dyrektorowie niewielką cieszyli się popularnością.

Wyjątek pod tym względem stanowił salon pani de Staël, gdzie spotkać było można tak zwany „tout Paris”; tak samo nielicznych jeszcze wówczas w Paryżu członków arystokracji, jak i rządu panującego; artystów i uczonych, rojali-

stów i republikanów; tych ostatnich w przeważającej liczbie naturalnie, sama bowiem gospodyni domu wyznawała zasady republikańskie.

Pewnego dnia, a raczej wieczora, bo już około dziewiątej godziny, pani de Staël, która świeżo właśnie z miasta powróciła, rozbierała się w swoim pokoju, gdy zaanonsowano jej generała Milet-Mureau, dawnego członka Stanów Generalnych, a obecnie ministra wojny, sumiennego i zdolnego administratora, ale bynajmniej nie orła pod względem inteligencji, której to ostatniej okoliczności zawdzięczał, prawdopodobnie, że przeżył czasy Teroru i Robespierre'a.

Był to człowiek elegancki i dobrze wychowany, co mu zjednywało łaski pani de Staël, bardzo na tym punkcie drażliwej, z wielką też radością powitała go u siebie, zapytując na wstępie:

— Jak dobrze, że cię widzę, kochany generale, może udzielisz mi jakich interesujących nowin, bo, doprawdy, umieram z ciekawości? Wracam właśnie z obiadu u pana Gohier, gdzie tak wszyscy wstrzeźmiewliwymi w rozmowie się okazali, jak gdyby należeli do zgromadzenia Trapistów. Szanuję wprawdzie sekreta profesjonalne i państwowe, ale zbytnia ostrożność słuszny może budzić niepokój, szczególnie w takich czasach, jakie obecnie przeżywamy.

— Zdaje mi się—odpowiedział generał, „że nie mamy specjalnego do niepokoju powodu, bo na Zachodzie sprawy dobry przybrały obrót. Generał Michaud, który z Holandyi przeniesiony został do departamentu Ile-et-Vilaine, dzisiaj mnie właśnie zawiadomił, że przysposobił wszystko do

obleżenia Lapoterie, Rieux i Allaire... Są to nowiny bardzo pomyślne, jak pani widzi, ale...

— Jest więc jakieś *ale*? czyżbyś pan inne jeszcze wiadomości dzisiaj otrzymał?

— Nie! tylko wydano mi rozkaz, abym Michauda wysłał tymczasowo do armii angielskiej... Oczywiście będzie on mógł ztamtąd dawać oko i na operacje armii Zachodniej, ale jednak... już to nie będzie to samo, i to mnie niepokoi. Te wszystkie zmiany i wahania są w najwyższym stopniu szkodliwe i fatalne mogą mieć następstwa, wierzą mi pani.

Pani de Staël skinieniem głowy potwierdziła słowa generała i oboje zamyślili się poważnie, rozbierając położenie Francji i postępowanie rządu. Generał poczynił już seryo myśleć o podaniu się do dymisy dla uniknięcia wielkiej odpowiedzialności za liczne błędy dyrektoryatu, którym zapobiedz nie był w stanie i uczynił to rzeczywiście w kilka tygodni potem; a pani de Staël rozmyślała w milczeniu, jak bardzo trudna jest sztuka rządzenia krajem.

Nagle otworzyły się drzwi i oznajmiono Benjamina Constant.

— O nieba, jakież tu milczenie panuje! — zawołał wchodzący, czyżbyście państwo robili rachunek sumienia?

— Nie—odpowiedziała pani de Staël,—ale zastanawialiśmy się oboje nad obecnym położeniem Francji i musisz przyznać, przyjacielu, że chwila jest dość poważna.

Ty, który jesteś autorem „Reakcji politycznych”, zrozumiesz chyba lepiej od każdego inne-

go, jak groźna jest sama myśl powrotu fali z 93 roku i jaką obawą przepełniać musi każdego myślącego człowieka.

— Ależ droga moja pani—powiedział z lekkim uśmiechem Milet-Mureau,—zdaje mi się, że nic w naszej poprzedniej rozmowie nie usprawiedliwia tak czarnych przewidywań.

Pani de Staël wybuchnęła szczerym śmiechem:

— Otóż macie panowie dowód, jakie mi często figle płata moja szalona wyobraźnia; jakie przebiega przestrzenie, skoro ją ktoś na odpowiednią drogę wprowadzi! A nie możesz się zaprzecć, kochany generale, że myślałeś to samo, co ja słowami wyraziłam.

— Czy miałeś pan jakie wiadomości z Egiptu, generale? — zapytał po chwili Benjamin Constant.

— Tak! wczoraj właśnie otrzymaliśmy wiadomość o wzięciu Aleksandryi; raport podpisany jest przez Aleksandra Berthier, naczelnika sztabu armii wschodniej.

— A czy pisał generał Bonaparte?

— Nic o tem nie wiem; ja odebrałem tylko raport generała Berthier i szczęśliwy jestem, że nie został przejęty, bo Anglicy dobrze umieją pilnować wybrzeży. Zdaje mi się jednak, że obywatel Barras otrzymał jakąś prywatną korespondencyę; wnoszę to z tego, że zaraz po przybyciu kuryera wysłał posłańca do pani Bonaparte, do Malmaison.

Pani de Staël uśmiechnęła się lekko na te słowa i... już otwierała usta, aby coś powiedzieć,

ale po chwili zastanowienia rzekła tylko, zwracając się do Benjamin Constant:

— Czy pan znasz Chasseta? co to za człowiek?

— Hm... jest to człowiek zręczny, bardzo zręczny; to dawny deputowany z Villefranche do Stanów Generalnych, a odznaczał się zawsze dziwną nienawiścią do całego duchowieństwa, które prześladował zajadle, nastając na najdroższy tegoż przywilej, to jest prawo pobierania dziesięcin.

— Ach! przypominam go sobie teraz—zawołała pani de Staël, wszakże to on dostał anonimowy list od pewnego duchownego, grożący mu straszną zemstą?

— Właśnie! ale dlaczego on panią interesuje?

— Bo dzisiaj właśnie ma mi zostać przedstawiony. Millin prosił mnie usilnie o pozwolenie przyprowadzenia go z sobą, opowiadając prawdziwe cuda, jak bardzo jest on w rozmowie interesującym.

Constant lekko się uśmiechnął, mówiąc:

— Co prawda, nie znam go z tej strony, wiem tylko, że jest zaciętym wrogiem duchowieństwa i kościoła... ale prawda, przecież za jego to inicjatywą Stany Generalne uchwaliły niegdyś rzecz prawdziwie poważną.

— Cóż to takiego?—zapytała pani de Staël, trochę zdziwiona, że nie pamięta o *poważnej rzeczy*, ona, tak dobrze zwykle o wszystkim poinformowana.

— Ależ... utworzenie trzech komitetów dla przygotowania egzekucyi uwięzionych z dnia 4-go sierpnia!

— Prawda—rzekła pani de Staël; — ale ten fakt nie wypadł z mojej pamięci, i teraz doskonale przypominam sobie Chasseta! On to przecież stawiał opór temu potworowi Billaud-Varennes, żądającemu zniesienia wszystkich trybunałów sprawiedliwości we Francyi!

Jakież to straszne były czasy, jakie czasy! I pomyśleć tylko, że wszystkie te potworności działy się we Francyi; że naród tak szlachetny i odważny dał się opanować takiemu straszemu szaleństwu! Doprawdy, samo wspomnienie staje się nad wyraz bolesne.

W tej chwili drzwi otworzyły się znowu i ukazał się w nich pan de Talleyrand, poufały przyjaciół pani de Staël; a wkrótce po nim nadeszło jeszcze kilkadziesiąt innych osób, tak kobiet, jak i mężczyzn, pomiędzy którymi widziało się deputowanych, generałów, literatów, artystów i t. p.

Około dziesiątej pojawił się Millin, ale... sam.

— No, a gdzie pański deputowany?—zapytała pani de Staël.

— Naznaczono go na sekretarza do komisji, przyjść zatem nie mógł; ale to nic straconego, w ciągu tygodnia ujrzymy go tu niezawodnie.

— O kimże państwo mówicie?—zapytał ktoś z obecnych.

— O Chassecie, deputowanym z Villefranche—odpowiedział Millin.

— Tak, to bardzo zacny człowiek, ale nudny... ach, jak nudny!—rzekł na to pan Dupont de Nemours.

— Nudny! Wielkie nieba!—zawołała pani de

Staël przerażona; nic mi pan o tem nie mówileś, Millinie?

— Bo mnie pani o to nie pytała—odpowiedział Millin, uśmiechając się na widok przerażenia gospodyni domu.

Całe towarzystwo wybuchnęło głośnym śmiechem, który... ustał nagle, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, gdyż w otwartych drzwiach ukazał się nowy gość i lokaj oznajmił głośno:

— Generał Kościuszko!

W takich to chwilach właśnie trzeba było widzieć i słyszeć panią de Staël! Uwielbiająca, a zdolna ocenić wszystko co wielkie i szlachetne, łatwo sobie wyobrazić można, co uczuła na jego widok.

Podbiegła szybko do zbliżającego się wolnym krokiem bohatera i, powitawszy go z serdecznym uszanowaniem, rozpoczęła rozmowę, roztańczając ten niepokonany czar, którym podbijała każdego, kogo zjednać sobie pragnęła.

Kościuszko był wtenczas mężczyzną, mającym lat około czterdziestu, o imponującej i wzbuźniającej szacunek postawie, którego obejście swobodne i eleganckie z pewnym odcieniem surowej żołnierskiej prostoty, powiększał jeszcze ten wdzięk wrodzony, jakim odznaczają się wszyscy prawie Polacy.

Zaledwie usiadł, stał się punktem centralnym całego zebranego grona, koncentrującym na sobie uwagę wszystkich obecnych. Bawił on w Paryżu od kilkunastu dni zaledwie, zatem nie stracił jesz-

cze uroku nowości i wzbudzał wielkie zainteresowanie, jakie my Francuzi odczuwamy zawsze wobec wszystkiego, co wychodzi po za pewną normę: bądź to wielkiego nieszczęścia, bądź też wielkiego powodzenia.

Dupont de Nemours, który znał go już poprzednio, zapytał po chwili, czy zawsze jeszcze tak jest zamęczany ciągłymi wizytami i zaproszeniami, odbieranymi od osób wszelkich partii i przekonań politycznych?

— Nie umiałbym się na to skarżyć—odparł uśmiechając się Kościuszko,—gdyż są one tylko dowodem uprzejmej względem mnie łaskawości, którą ocenić potrafię. Jedyne zatem uczuciem, jakiego doznawać mogę, jest prawdziwa i serdeczna wdzięczność, za tak szlachetnie udzielaną gościnność.

Kościuszko był człowiekiem prawdziwie wyższym, którym Polska słusznie chlubić się może i powinna; a przecież słyszałam, że i on miał podobno nieprzyjaciół. Wytlómaczyć to tylko można tym dziwnym brakiem solidarności i duchem niezgody, jaki w tym narodzie panuje, doprowadzając go często do walk bratobójczych na ulicach Warszawy, a nawet w obozie—na oczach nieprzyjaciela. Kościuszko, obrońca wolności i ojczyzny, w pierwszych chwilach swojej działalności otrzymywał dowody najwyższego uznania i czci ogólnej; mianowany został naczelnym wodzem wszystkich wojsk i poprowadził je przeciw nieprzyjacielowi. Tymczasem... niezgoda zdołała się już zakraść do obozu Polaków; bitwa została przegrana, i sam naczelnik, ranny, dostał się do niewoli.

Przywieziony do Petersburga, zamknięty został w ciemnej i wilgotnej celi twierdzy Szlisselburskiej.

Pierwsze chwile więzienia były okropne. Ameryka, pomna zasług Kościuszki w wojnie o niepodległość, wstawiła się za nim do rządu rosyjskiego, nadsyłając zarazem znaczną pensję dla zapewnienia mu potrzebnych wygód w więzieniu. Po śmierci cesarzowej Katarzyny, syn jej, Paweł, uwolnił natychmiast Kościuszkę, naznaczając *wspaniało-myślnie* 12,000 rubli pensyi, jako „indemnizację poniesionych strat”.

Prócz pensyi, ofiarował mu jeszcze jeden z pałaców na mieszkanie, gdzie jednak Kościuszko zabawił tylko czas niezbędnie konieczny do odzyskania zdrowia, więzieniem zrujnowanego; poczem wyjechał do Filadelfii, a po paru miesiącach wyładował we Francyi, w Tulonie.

Entuzyastyczne przyjęcie, jakie zgotował mu Dyrektoryat, przynosi sławę naszemu narodowi, dowodząc, że umiemy uszanować odwagę i poświęcenie, choćby ono nawet nie było powodzeniem uwieńczone.

Po przybyciu Kościuszki do Paryża, w dniu 18 sierpnia, jako w podwójną rocznicę, wyprawiono wspaniałe bankiet na cześć wielkiego gościa, o należenie do którego dobijano się jako o najwyższy zaszczyt. Wszyscy nagle zapragnęli jego przyjaźni i znajomości; ludzie o różniących się krańcowo poglądach i przekonaniach jednoczyli się w okazywaniu mu swej sympatii i gorącego uznania, słowem, przez kilka miesięcy żadna inna myśl nie powstała w głowach Paryżan; mówiono

i rozprawiano tylko o Kościuszcze i jego bohater-
skich czynach. Pani de Staël widywała go często
i za każdym razem wypytywała ciekawie o panu-
jący dwór rosyjski i obyczaje tego dalekiego kra-
ju, słuchając objaśnień z wielkiem zainteresowaniem.

Tegoż właśnie wieczora, gdy zamieszanie,
spowodowane powitaniem, trochę się już uspokoiło,
do siedzącego obok gospodyni domu naczelnika
zbliżył się blady, wysoki mężczyzna, o głębokiem
spojrzeniu i surowym wyrazie twarzy i rozpoczął
rozmowę, zawiadamiając go o świeżo odebranych
przez siebie wiadomościach od kilku dawnych to-
warzyszów broni.

Pani de Staël pośpieszyła z przedstawieniem,
wymieniając nazwisko deputowanego Salicetti, a ten,
skłoniwszy się, ciągnął dalej:

— Mówię tu o generale Kniaziewicz; wiesz
zapewne, generale, że wstąpił on do armii fran-
cuskiej i obecnie znajduje się na Korsyce?

— Tak, wiem o tem—odpowiedział Kościusz-
ko z uśmiechem niewypowiedzianego smutku;—po-
święcił on wam resztę swego życia. Zazdroszczę
mu czasami, bo, widać, w duszy jego nie zagał
jeszcze ten święty ogień zapалу, ogień twórczy,
pobudzający do czynu! Ja... niczego się już od losu
nie spodziewam i niczego nie pragnę!... Nie mogę
szukać nowej ojczyzny, mając serce okryte żalobą.

Salicetti zmarszczył brwi i oddalił się bez
słowa odpowiedzi.

Pani de Staël, obecna przy rozmowie, odezwała
się teraz głosem, pełnym gorącego współczucia:

— Wiem, ileś wycierpiał, generale, ale dla-
czego odpychać nadzieję lepszej przyszłości?

— Bo jej mieć nie mogę!...

— Czy znałeś osobiście cesarza Pawła, ge-
nerale? — rzekła po chwili pani de Staël, chcąc
rozproszyć smutne zamyślenie Kościuszki.

— Och tak! znałem go bardzo dobrze.

— A czy rzeczywiście jest tak brzydki, jak
go na wszystkich portretach przedstawiają?

— Może nawet brzydszy. Jest on bardzo po-
dobny do ojca swego, cesarza Piotra III, tylko
w oczach widnieje wyraz obłędu, czy nieprzytom-
ności, co dziwnie przykre sprawia wrażenie. Przy-
tem tak ojciec, jak syn, posiadają w twarzach cha-
rakterystyczne linie, oznaczające nieszczęśliwy los;
byli oni z urodzenia... predestynowani.

— Czyś go pan poznał jeszcze przed zam-
knięciem mojem w Szlisselburgu?—zapytał Dupont
de Nemours, zbliżając się do rozmawiających.

— Oh nie, znacznie później! Cesarzowa Ka-
tarzyna surowszą była od syna. Dopóki ona żyła,
widywałem tylko dozorców więziennych, gdyż wszel-
ka komunikacja ze światem zewnętrznym stanowczo
wzbroniona nam była. Nawet książek nie dostar-
czano nam zupełnie. Po śmierci cesarzowej Ka-
tarzyny oznajmiono mi krótko, że wolny i, wrzu-
ciwszy w łódkę, przewieziono do Petersburga. Tam
jeden z oficerów służbowych przyszedł do mego
mieszkania z rozkazem udania się wraz z nim do
cesarza, który chce ze mną pomówić. Naturalnie,
musałem być posłuszny.

Cesarza zastałem zupełnie samego, w mun-
durze, bez żadnych oznak jego wysokiej godności;
wogóle całe urządzenie gabinetu skromne było
i surowe.

Spostrzegłszy mnie, zrobił gest zdziwienia i politowania, prawdopodobnie na widok mej śmiertelnej bładości i osłabienia. Trzech moich współtowarzyszy znalazło tam śmierć przedwcześnie z powodu wilgoci i okropnych warunków, w jakich znajdowaliśmy się wszyscy.

Ostatnie słowa wypowiedział Kościuszko z nieopisanem wzruszeniem; widać wspomnienie zmarłych towarzyszy broni boleśnie ścisnęło mu serce.

Pani de Staël zerwała się z miejsca i, ściskając gorąco ręce generała, zawołała ze łzami w oczach:

— Mój Boże! ileż pan cierpieć musiałeś?!

— Och tak! cierpiałem bardzo, w rzeczy samej — odpowiedział Kościuszko, ochłonawszy ze wzruszenia.

„Kościuszko—odezwał się cesarz Paweł—niewymownie się z tego cieszę, że mogłem cię poznać osobiście; spodziewam się, że odtąd będziemy przyjaciółmi; przynajmniej ja starać się o to będę. Lubię Polskę i Polaków i wkrótce dowiodę ci tego... Na początek i aby ci wynagrodzić poniesione straty, ofiaruję ci pałac na mieszkanie i 12,000 rubli rocznej pensji.”

Podziękowałem mu za łaskawość, myśląc, że ona rzeczywiście nietylko do mnie jednego odnosić się będzie, ale cały mój naród obejmie; była chwila, żem prawie uwierzył w jego dobroć... przecież pragnie wynagrodzić wyrządzone krzywdy...

„Chodź teraz ze mną—mówił dalej cesarz Paweł—chcę przedstawić cię cesarzowej”;—i, biorąc mnie pod rękę, poprowadził przez niezliczony sze-

reg komnat, aż do skrzydła pałacu, zajmowanego przez cesarzową.

— Ach, powiedz nam pan coś o niej, generale—odezwała się pani de Staël;—Ségur, który ją często widywał, zapewnia, że jest piękna i bardzo dobra.

— Piękna jest rzeczywiście — odpowiedział Kościuszko,—ale twarz jej ma wyraz tak bezmiernego smutku, że trudno odgadnąć, jakie jest jej właściwe usposobienie.

Przyjęła mnie z wielką dobrocią i, wspominając o przebytej niewoli, znalazła takie słowa, które jednają serca ludzkie... Zastaliśmy ją w otoczeniu całej rodziny, ta zaś jest liczna, jak państwu wiadomo. Wielki ksiązę Aleksander, to prawdziwie piękny chłopiec, ale natomiast brat jego, Konstanty, bardzo do ojca podobny. Księżniczki mają dużo wdzięku i niepospolitą urodę. Mówiono mi, że prócz tych dzieci, cesarz dwóch jeszcze młodszych synów posiada, ale ich nie widziałem.

— Czyś pan długo mieszkał w Petersburgu po odzyskaniu wolności?

— Bardzo krótko; wyjechałem natychmiast i udałem się do Ameryki, aby podziękować tym zacnym ludziom za opiekę i przyjaźń w nieszczęściu mi okazaną. Nie chciałem... wprost nie mogłem, przyjmować dłużej tej gościnności. Z Ameryki przybyłem tutaj, bo, nie mogąc wrócić do kraju, lżej mi będzie oddychać w atmosferze swobody i wolności, a mam nadzieję, że Francya nie odmówi mi przytulku.

— I nie zawiedziesz się, generale,—odrzekł

Dupont de Nemours, poczem, zwracając się do pani de Staël dodał jeszcze:—nieprawdaż, droga pani, że Francya szczęśliwą będzie, mogąc być użyteczną człowiekowi, który życie całe walczył w obronie jej ideałów!

Kościuszkę uprowadzony został w inny koniec salonu przez panów Savary i Boulay-Paty, dwóch prawdziwych apostołów wolności, którzy otaczali prawdziwą czią polskiego generała, uważając go za człowieka, przewyższającego bohaterów Plutarcha.

W odpowiedzi na ich pytania, dotyczące Polski i stosunków tam panujących, Kościuszkę opowiadał im dużo szczegółów o całej rodzinie Czartoryskich i ich *przypadkowym* siostrzeńcu Stanisławie Poniatowskim, oraz, jakim sposobem został on później królem, na swoje własne i całego kraju nieszczęście.

Nazwałam go przypadkowym siostrzeńcem, ponieważ siostra książąt Michała i Augusta Czartoryskich, członków jednej z najarystokratyczniejszych rodzin polskich, wbrew woli braci i całej rodziny, wyszła za mąż za hrabiego Poniatowskiego, należącego do „nowych ludzi”, a który całą swoją karierę zawdzięczał Karolowi XII i później Augustowi II, umiał ich bowiem nadzwyczajną zręcznością i układnością sobie zjednać. Szwa-growie początkowo znać go wcale nie chcieli, ale i ich przebłagać zdołał, nie szczędząc starań i zabiegów w tym celu, był zaś człowiekiem niezwykle inteligentnym i rozumnym.

Syn jego, Stanisław, został królem, pod naciskiem woli Cesarzowej Katarzyny; pierwotnie bo-

wiem istniał zamiar obrania księcia Adama Czartoryskiego.

W ciągu tej rozmowy, na uboczu prowadzonej, coraz nowi goście napływali do salonu pani de Staël, która, idąc na ich powitanie, posłyszała wesoły śmiech rozmawiających panów. Zaciekawiona, co go wywołać mogło, przystąpiła bliżej, mówiąc z lekką wymówką:

— Widzę, że doskonale się panowie bawicie, ale może zechcecie podzielić się i z nami przedmiotem waszej wesołości. Pewna jestem, że będzie on równie dla wszystkich interesujący, skoro pana nawet rozśmieszyć potrafił,—dodała, wskazując na pana Savary, znanego ze swej nadzwyczajnej powagi.

— To generał temu winien,—odrzekł Savary z ukłonem,—opowiadał nam właśnie pewną anegdotę z Warszawy, bardzo zabawną rzeczywiście; a ponieważ nie jestem egoistą, jak to pani przypuszczać się zdaje, zatem proszę, udzielić jej i innym, generale.

— Ale czyż ona naprawdę warta jest powtórzenia?—zapytał Kościuszkę z powątpiewaniem.

— Tak, tak! generale, opowiedz nam swoją historię, prosimy wszyscy—zawołała pani de Staël.

— Rzeczy, opowiadane przez takich, jak ty, ludzi, podwójnie są ciekawe, gdyż łączą w sobie urok powieści z prawdą, jaką historię cechować powinna! Panowie, proszę o milczenie, generał ma głos.

— Och mój Boże! raz jeszcze powtarzam, że rzecz nie warta takich przygotowań, doznacie państwo zawodu; ponieważ jednak życzy pani

sobie tego, zatem jestem posłuszny. Otóż przedewszystkiem trzeba państwu wiedzieć, że w pobliżu Warszawy znajduje się śliczny letni pałacyk, gdzie król często latem przemieszkuje. Pan Thugut, ten sam, który obecnie tak bardzo mną się interesować raczy, że nakazał wszędy mnie poszukiwać... dla aresztowania, przybył kiedyś do Warszawy dla pomówienia z królem o bardzo ważnej kwestyi państwowej, w tej chwili obojętnej dla nas zupełnie. Król Stanisław, będący zawsze pod kontrolą Rosyi i uznający jej protektorat nad sobą, nie śmiał go przyjąć w Warszawie, wymyślił więc sposób, aby to widzenie nastąpić mogło, o ile możliwości, incognito; mianowicie, zaprosił pana Thuguta na obiad do Łazienek, owej letniej rezydencji, chociaż pora dość już była, jak na zamiejskie wycieczki, spóźniona. Bardzo uprzejmym i miłutkim liścikiem, w pisaniu jakich celował, poprosił go król Stanisław o wczesne przybycie, bo „przed obiadem jeszcze chciałby z nim zagrać partyę wista, lub bilardu, a po obiedzie pokazać ogród” i t. d.

Baron Thugut przybył około pierwszej z południa, a kamerdyner, widocznie uprzedzony, wpuścił go odrazu do wewnętrznych apartamentów, mówiąc, że król niebawem nadejdzie. Wprowadziwszy do pierwszego salonu, pokazał w którą stronę iść należy i, zawiadomiwszy, że wszystkie drzwi znajdzie otworem stojące, cofnął się dyskretnie do przedsionka, zamykając drzwi za sobą. Baron, nie słysząc żadnego szmeru w przyległych komnatach, zatrzymał się na razie niepewny, jak ma dalej postąpić, ale, po chwilowem wahaniu, poszedł we

wskazanim kierunku, oglądając po drodze rozmaite dzieła sztuki, których Łazienki znaczny zbiór posiadają. Po przebyciu kilku salonów znalazł się w gabinecie, przylegającym bezpośrednio do wspaniale urządzonej biblioteki, gdzie usłyszał lekkie chrząknięcie, jakgdyby ostrzeżenie o czyjejś tam obecności.

Uważając to za wezwanie, baron przeszedł szybko gabinet, wszedł do biblioteki i znalazł tam wspaniale wystrojonego młodzieńca, który, stojąc tyłem do kominka, grzał sobie ręce przed ogniem.

Nie wątpiąc ani chwili, że stoi wobec króla (a nie widział go przedtem nigdy), złożył mu baron Thugut głęboki ukłon, tem głębszy, że, jak się zdawało, zastał już króla czekającego, co mocno sprzeciwiało się przyjętej na dworach etykiecie.

Młodzieniec oddał mu ukłon, ale z nadkrólewską prawie wyniosłością i ironicznym na ustach uśmiechem.

— Hm,—pomyślał sobie Thugut—oto król, który nie wiele potrzebował czasu, by się nauczyć, stania na straży swojej królewskiej godności; — równocześnie jednak złożył mu drugi, jeszcze głębszy ukłon.

Młody człowiek, znowu ironicznie skinął głową, nie odzywając się jednak ani jednym słowem do przybywającego. Zmieszany trochę takim przyjęciem, baron podniósł wreszcie oczy na stojącego przed sobą króla i, zobaczywszy wspaniały strój jego, oraz istną tęczę wstęg orderowych piersi jego zdobiących, zdumiał jeszcze bardziej, stanęły mu bowiem w pamięci słowa zapraszającego bi-

letu, gdzie, między innymi, znajdowało się zdanie następujące: „przybądź zupełnie bezceremonialnie, kochany baronie, przyjemność, jakiej doznam, mogąc się z tobą zapoznać, starczy nam za wszelkie ceremonie i ostentacye”; — a tu teraz taki strój! On zaś, stosując się do rozkazu przybył zupełnie prywatnie!

W chwili, gdy baron rozpoczynał trzeci ukłon, otworzyły się małe, boczne drzwi i drugi młodzieniec wszedł szybko do pokoju.

Ten jednak był skromnie i ciemno ubrany, mając za całą ozdobę jeden jedyny order św. Stanisława na piersiach.

— Ach! to pan, baronie Thugut — zawołał z tą uprzejmością, pełną wdzięku, jaka cechowała zawsze króla Stanisława — cieszę się niewymownie, mogąc osobiście się z panem zapoznać i mam nadzieję, że wkrótce będziemy dobrymi przyjaciółmi. A pan jak się dzisiaj miewasz, hrabio Stac...g — dodał, zwracając się do mniemanego króla.

Hrabia w odpowiedzi skłonił się prawie do ziemi, jakgdyby dla okazania panu Thugut, że krzyż jego giętkim jest bardzo... gdy tego potrzeba.

— Baron Thugut — hrabia Stackelberg — rzekł z uśmiechem król, przedstawiając dwóch ambasadatorów — dzisiaj ja sam spełnić muszę obowiązki mistrza ceremonii, gdyż, jak to panów uprzedziłem, jesteśmy na wsi, dla rozrywki, zatem wszelka etykieta pozostać musi na stronie.

Baron skłonił się uprzejmie, ale hrabia St...g przybrał znowu swoją wyniosłą postawę, pragnąc

niejako upokorzyć antagonistę, lub też pokazać mu, że jest wysłańcem kobiety, nie robiącej koncesyi nigdy i nikomu, nawet... grzeczności i dobremu wychowaniu! Ale nie on to mierzyć się mógł z baronem Thugut, jednym z najdowcipniejszych ludzi swego czasu, ale zarazem złośliwym i kostycznym, chociaż w sposób elegancki i dystygowany!

Baron, urażony, postanowił dać hrabiemu dobrą nauczkę, a do tego doskonale nadawał się Poniatowski, sam niezmiernie dowcipny i inteligentny, rozumiejący znakomicie wszelkie aluzje i półsłówka i mistrz w prowadzeniu lekkiej, salowej szermierki słownej.

Cały czas do obiadu upłynął bardzo przyjemnie na rozmowie, będącej jednym świetnym fajerwerkiem wytworności i dobrego smaku, a w której hrabia Stac...g brał udział jako... słuchacz jedynie, i to słuchacz mocno zasepiony i w złym humorze; drażniła go bowiem i upokarzała własna niższość pod tym względem, a nie umiał tego ukryć.

Po obiedzie król zaproponował partję wista i, zawoławszy jednego ze służbowych oficerów, na czwartego, panowie zasiedli do kart. Król miał za partnera pana Thugut i wkrótce zaczął się trochę niecierpliwić, gdyż ten mylił się ciągle, co powodowało przegraną.

— Wygrywam króla trefl — zawołał nagle baron, kładąc na stole pikowego waleta.

— Ależ baronie, to walet pikowy! co pan robisz? — zawołał król ostrzegająco.

— Przepraszam najmocniej waszą królewską

mość, omyliłem się — odparł Thugut, skłaniając głowę.

Karta została podjęta i gra szła dalej.

— Król karo—zawołał po chwili baron, wyrzucając znowu jakiegoś waleta.

— Stanowczo wzrok panu nie dopisuje, lub dziwnie jesteś roztargnionym — powiedział Poniatowski—gdybyśmy tu mieli jakie piękne damy, to bym jeszcze pojmował, ale tak?!...

— Przepraszam jaknajpokorniej waszą królewską mość—rzekł na to Thugut—tem pokorniej, że winniejszy nawet jestem, aniżeli by się to z pozorów zdawać mogło, bo już to po raz trzeci dzisiaj biorę waleta za króla.

(Przypisek: Dowcip tego złośliwego frazesu polega na grze słów, niepodobnej do przetłomaczenia, gdyż we francuskim języku wyraz *valet* oznacza waleta w kartach i... lokaja).

Mówiąc te słowa, baron utkwiał złośliwe wejście w hrabiego Stackelberga, który, zaczerwieniony i zmieszany do najwyższego stopnia, siedział jak na rozpalonych węglach.

— Paradna, doskonała historya! nieprawdaż kochany Lemercier? — zawołała pani de Staël, zwracając się do bladego i szczupłego blondyna, o delikatnych rysach twarzy i inteligentnem spojrzeniu, który stojąc obok, z uwagą słuchał opowiadania.

— Patrz, generale, czy widzisz tego młodzieńca: ma on zaledwie lat dwadzieścia pięć a zawdzięczamy mu już dużo pięknych poezyi i cennych dramatów, jak „Lovelace”, „Tartufe rewolucyjny”, „Lewita z Efraimu”, „Ophis” i... i...

— „Agamemnon”, droga pani, „Agamemnon”, którego nie powstydzilby się Eurypides — dodał Dupont de Nemours. — Nie zaprzeczaj, drogi przyjacielu, byłby to zbytek skromności! Jeżeli tak dalej pójdzie, Francya szczyścić się kiedyś będzie takim synem.

— Publiczność innego jest widać zdania — odparł Lemercier z uśmiechem—boć wiecie państwo wszyscy, jak został niedawno przyjęty „Pinto”.

— Zapomnij już o tym nieszczęśliwym „Pinto”—przerwała pani de Staël — to jakieś dziwne nieporozumienie, którego pojąć nie jestem w stanie. Najlepiej mówmy o czem innem.

— Ależ nie myśl pani — odezwał się Jard-Panvilliers — aby Lemercier tak bardzo brał do serca wygwizdanie swojej sztuki, mogę cię zapewnić, że przyjął je bardzo spokojnie i filozoficznie.

— Niepodobna — zarzucił Benjamin Constant,—czyż autor mógłby pozostać obojętny na ten piekielny hałas, jakiego byliśmy świadkami w przeszłą środę?

— Bo skąd też przyszło panu do głowy powierzać Dugazonowi rolę arcybiskupa Bragancy? Nie leży ona zupełnie w jego zakresie — rzekła pani de Staël.

— Ale za to, jak cudną była panna Contat w roli księżny—ozwał się Dupont de Nemours—i ona sama uległa widać urokowi tej roli, gdyż trudno sobie wyobrazić coś równie doskonałego, jak jej gra.

— A jednak... tak mało była przejęta, że omal wszystkiego nie porzuciła po pierwszym akcie—odpowiedział z uśmiechem Lemercier.

— Czy być może? — zawołali wszyscy obecni—i jakichże środków użyłeś pan, by ją skłonić do dalszego wystąpienia? Opowiedz nam wszystko szczegółowo, to takie ciekawe!

— Z przyjemnością — odpowiedział Lemerrier—nie wiem tylko, czy państwo znają moją zasadę, że nigdy nie obdarzam nikogo biletami, chcąc, aby publiczność sama się wypowiedziała co do mojej sztuki; rozdawanie biletów uważam za sztuczną reklamę, ubliżającą godności autora. Tak samo było i na przedstawieniu „Pinta”. Miałem tylko jedną lożę, którą zająłem w towarzystwie trzech bliższych przyjaciół. Po pierwszym akcie odzwierny przychodzi mi oznajmić, że do brzeby było, bym się udał za kulisy, bo panna Contat dalej grać nie chce. Pobiegłem czempredzej do jej loży i zastałem ją na wpółrozebraną i rzewnie płaczącą, z oznakami najgłębszej rozpacz.

— Co ci się stało, droga przyjaciółko? doniesiono ci może jaką złą wiadomość, lub też chorą się czujesz? bo nie przypuszczam, abyś bez ważnego powodu miała mnie opuścić w tem trudnem położeniu? Cóżby się stało ze mną i moją sztuką, gdybyś to naprawdę uczyniła?, ale to niepodobna, za dobre masz na to serce.

Panna Contat odpowiedziała, że wprawdzie kocha mnie jak rodzonego brata i życzeby nawet dla mnie poświęciła, ale... na scenę wrócić nie może, gdyż ten piekielny hałas odbiera jej całą pamięć i przytomność umysłu, nie mogę... nie mogę tego słuchać — powtarzała, zanosząc się od płaczu.

Położenie moje z każdą chwilą stawało się krytyczniejsze, z jednej strony, zrozpaczona, zapłakana artystka, z drugiej rozwścieczona publiczność, która domagała się podniesienia kurtyny, wyjąc i gwizdząc, jak potępieńcy.

Ostatecznie, perswazyą i prośbami zdołałem uspokoić rozżaloną i nakłonić do dalszego wystąpienia, poczem, korzystając z chwili lepszego usposobienia, doprowadziłem ją do samych kulis, polecając nadal opiece Dugazona, który również dodawał jej odwagi, a sam powróciłem na swoje miejsce cokolwiek spokojniejszy, przynajmniej o los tego jeszcze aktu.

Słyszała pani zapewne, że cała sala teatralna w dniu tym wypełniona była po brzegi ludźmi najętymi, w celu urządzania owej kociej muzyki. Ale nietylko sala, nawet w przejściach i na korytarzach spotkać było można niby-spektatorów, zaopatrzonych w gwizdki i inne tego rodzaju instrumenta. Otóż w przechodzie dostrzegłem olbrzymiego draba, który, oparty o kominek w jednym z korytarzy, dął z całej siły w trąbkę myśliwską, jaką trzymał w ręku.

— Panie—rzekłem, zbliżając się doń z ukłonem—zdaje mi się, że niezbyt tu panu musi być dogodnie, gdyż pańskie gwizdanie uchodzi uwagi publiczności, pan zaś nie może widzieć sztuki, która tak mocno ci się niepodoba.

Człowiek spojrzał na mnie ze zdumieniem i, przerywając na chwilę swoją dyabelską muzykę, zapytał podejrzliwie, jakby chcąc zbadać, czy z niego nie szydę:

— Byłżebyś pan znajomym, lub przyjacielem autora?

— Jeszcze lepiej, bo samym autorem—odpowiedziałem,—ale to nic nie szkodzi. Jeżeli mi pan chcesz ten zaszczyt uczynić, to proszę, przyjmij miejsce w mojej łoży, mam właśnie jedno wolne. Będziesz pan siedział sobie wygodnie, naprzeciwko sceny, zatem znajdziesz się w doskonałych warunkach do wygwizdywania ustępów, jakie ci się będą niepodobały; ja zaś przyrzekam solennie nie przeszkadzać w tem panu bynajmniej, choćby to były najulubieńsze moje miejsca.

— Kapitalne!—zawołała pani de Staël—i pan naprawdę to uczynić chciałeś?

— Bez wątpienia—odparł Lemerrier.

— No, a ów człowiek, czy przyjął propozycję?

— Nie!—zawrócił się i poszedł, ale pewien jestem, że nie gwizdał już więcej.

— Zwyciężyłeś go, kochany Lemerrier, bo prawdziwa wyższość zawsze nad głupotą i barbarzyństwem w końcu tryumfować będzie! Ale z tego wynika, że to pan podtrzymałeś słabnącą odwagę panny Contat, a publiczność twierdzi, że ona to właśnie nie dozwoliła upaść pańskiej sztuce. Otóż to są sądy świata!

Tem słowem zakończył się właściwie wieczór pani de Staël. Zebrani goście tłumnie salon opuszczać zaczęli, pozostawiając w nim tylko pana de Talleyrand, Benjamina Constant i kilku innych najzaufańszych przyjaciół gospodyni.

Dalsze koleje życia pani de Staël znane są ogólnie; szczególniej prześladowanie, jakie znosiła

ze strony cesarza, który, tak szlachetny i sprawiedliwy dla wszystkich, względem niej dziwnie się okazał uprzedzonym.

Walczyć z kimś, mając możność użycia każdej broni, podczas gdy przeciwnik jest jej zupełnie pozbawiony, niegodnem jest prawdziwie wielkiego człowieka! To też postępowanie Napoleona z panią de Staël rzuca wielki cień na niego. A przecież nie mogę się pozbyć myśli, że właśnie tych dwoje ludzi stworzeni byli, aby się zrozumieć.

Pani de Staël miała umysł dość rozległy, aby pojąć i ocenić geniusz Napoleona; a serce gorące, zdolne uwielbiać tego, który taką aureolą chwały otoczył jej ukochaną ojczyznę.

K O N I E C.



**Przypominamy Szanownym
Prenumeratorom, że czas od-
nowić przedpłatę na rok 1914.**

WYCIĄG Z KATALOGU

BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ
WYBOROWYCH“ (Warszawa, Sienna № 2) i we
wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1913.

	CENA	
	w opr. brosz. kop.	kop.
773. Włodz. Perzyński. PANI CZAJKOWSKA	55	40
774 — 775. Marya Rodziewiczówna. MIEDZY USTAMI A BRZEGIEM PUHARU	1.10	80
776. Seweryn Bukar. PAMIĘTNIKI Z KOŃCA XVIII i POCZĄTKÓW WIEKU XIX	55	40
777—779. Gabriela Zapolska. WE KRWI. Po- wieść współczesna	1.65	1.20
780. Julian Ochorowicz. ZJAWISKA MEDYU- MICZNE	90	75
781—783. Anna Vivanti. POZERACZE (I di- voratori). Powieść	1.65	1.20
784, 785. hr. Sierakowski. LISTY Z PODRO- ŻY. 1) Podróż do Jerozolimy. 2) Podróż do Włoch. 2 tomy	1.10	80
786, 787. J. Ochorowicz. ZJAWISKA MEDYU- MICZNE. 2 tomy.	1.30	1.00
788, 789. Kazimierz Przerwa-Tetmajer. I. ANNA MERY. Powieść. 2 tomy.	1.10	80

	CENA	
	w opr. brosz.	kop. kop.
790, 791. PAMIĘTNIK LADY FRANCISZKI SHELLEY (1787 — 1817). Czasy wielkich wojen napoleońskich i przewrotów politycznych na przełomie dwóch wieków w oświeceniu ówczesnego dworu i wyższego towarzystwa angielskiego	1.40	1.10
792—794. K. Gliński. PAN FILIP Z KONOPLI. Powieść	1.65	1.20
795. G. Meyrs. JAK SIĘ DOCHODZI DO WIELKICH FORTUN	55	40
796. Z. Rabska. LISTY MIŁOSNE	55	40
797. W. Szyszyło. WSRÓD MOCZAROW I JEZIOR FLORYDY	55	40
798. Hajota. ŚLUBNA OBRĄCZKA	55	40
799—804. Teodor Dostojewski. BRACIA KARAMAZOW	3.30	2.40
805 — 806. Adam hr. Sierakowski. LISTY Z PODROŻY (Grecja, Hiszpania, Egipt)	1.10	80
807, 808, 810. G. Wells. HISTORIA P. POLLY (powieść)	1.65	1.20
809. M. Sizeranne. NIEWIDOMY O NIEWIDOMYCH	55	40
811. Adolf Dygasiński. VON MOLKEN	55	40
812—813. Tad. Wyleżyński. BITWA POD LIPSKIEM (Lützen, Bautzen, Lipsk)	1.10	80
814—815. H. Romer-Ochenkowska. MAJAKI (powieść)	55	40
816. Alexander Kraushar. NEO-CYGANERYA WARSZAWSKA.	55	40
817, 818. J. Ocdorowicz. ZJAWISKA MEDYUMICZNE	1.10	80
819. M. Kościelska. SNOBY. Powieść	55	40
820. Jan Kowerski. ROMANS PANNY JULII.	55	40

ZAKŁAD
ARTYSTYCZNO-GRAWERSKI
STANISŁAWA LIPCZYŃSKIEGO

Dostawcy Towarzystw Sportowych

W WARSZAWIE

Marszałkowska 149.
Róg Próżnej.

Telefon 134-84

PODWALINĄ BYTU

każdego człowieka jest właściwe i higieniczne odżywianie w latach dziecięcych

**MACZNA MLECZNA
NESTLÉ'a**

jest uznana przez największe powagi lekarskie jako najodpowiedniejszy pokarm dla niemowląt i dzieci.

Towarzystwo Akcyjne
„Fr. Karpiński”

w Warszawie
ul. Elektoralna 35, telefon 600
poleca

Karpińskiego
Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, potyskującą skłoną do węgów i pryszcz, oraz przy łuszczeniu się skóry. Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

Karpińskiego
Mydła Alkalicznego Nr 2

Cena kop. 40 za szt.

Karpińskiego
Mydła Ogórkowe

hygieniczne, usuwające opaleniznę i plegi.

Cena kop. 50 za szt.

Karpińskiego
Mydło Neutralne

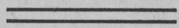
znakomity środek higieniczny do pielęgnowania twarzy, rąk oraz ciała u dzieci. Cena k. 40 za szt.

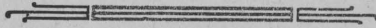
Żądać wszędzie

Istniejący od roku 1805.

Zakład Ogrodniczy
i Skład Nasion

C. ULRICH

w Warszawie  Ceglana 11.


Poleca w wielkim wyborze:

NASIONA WARZYW
NASIONA KWIATÓW
NASIONA ROLNE
NASIONA TRAW
CEBULKI KWIATOWE

Drzewa owocowe w koronach
Drzewa i krzewy ozdobne
Drzewa alejowe i na solitery
Różeienne i krzaczaste.

SZPARAGI, TRUSKAWKI I POZIOMKI.

Narzędzia ogrodnicze i nawozy sztuczne

PALMY, PAPROCIE, AZALJE, BZY
i DRZEWA LAUROWE.



IDEAŁEM WANNY

nazwać można, bez wszelkich zastrzeżeń JOHNĄ wannę „JAJAG” z podgrzewaczem spirytusowym. Kąpiel gotowa w ciągu pół godziny kosztem 12—15 kop. Do użytku o każdej porze i w każdym miejscu. Tysiące w użyciu. Opisy i ceny na żądanie darmo i oplatnie. Ważne dla prowincji.

Tow. Akc. J. A. JOHN, Warszawa, Smolna 12, telefon 3690.

St. Lipczyński

GRAWER

Dostawca towarzystw sportowych

WARSZAWA

Marszałkowska Nr. 149.

tel. 134-84.

Pracownia i Magazyn wyrobów

SREBRNYCH,

ZŁOTYCH I

Z BRYLANTAMI

KAZIMIERZ

BRETSZNAJDER

Warszawa, Marszałkowska 92.

NOWOŚĆ

AMERYKAŃSKA MASZYNA DO DODAWANIA

THE „GOLDEN GEM“



DODAJE RÓWNIE DOBRZE, JAK NAJDRÓŻSZE
MASZYNY TEGO RODZAJU.
NIEODZOWNA PRZY PRACY BIUROWEJ.
MECHANIZM Z NAJLEPSZEJ STALI I MOSIADZU.
NA ŻĄDANIE OPIS SZCZEG. BEZPŁATNIE.

WYŁĄCZNE PRZEDSTAWICIELSTWO I SKŁAD GŁÓ-
WNY NA KRÓLESTWO I CESARSTWO:

Cena 35 rb.

Bogusławski i Szczyrba, Warszawa,

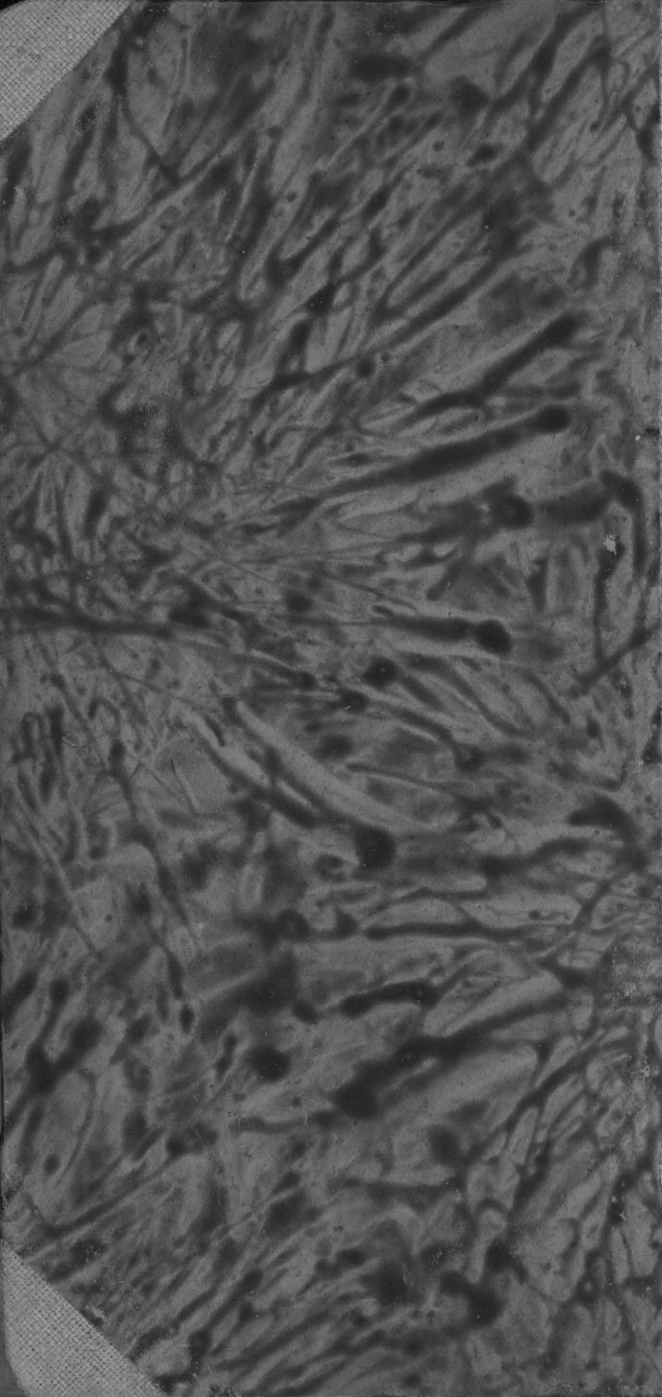
Ś-to Krzyska 11, telefon 195-52.

*Na prowincję wysyłka pocztą za zaliczeniem, po otrzymaniu zadatku rb. 5.
Zamawiający z lub więcej maszyn kosztów przesyłki nie ponoszą.*

DRUKARNIA L. BOGUSŁAWSKIEGO

Wykonywa wszelkie roboty drukarskie.

Warszawa, ul. Ś-to Krzyska 11, tel. 195-52.

The image shows a close-up of a book cover or endpaper. The majority of the surface is covered in a dark, intricate marbled paper pattern. This pattern consists of numerous fine, dark, wavy lines and streaks that create a complex, organic texture. The colors are primarily dark browns and blacks, with some lighter, ashy tones interspersed. The marbling appears to be a traditional hand-marbled style. In the upper right corner, there is a small, rectangular, light-colored paper label. This label is pasted onto the book's surface and contains the number '5884' printed in a simple, black, sans-serif font. The right edge of the image shows a vertical strip of a different material, likely the book's binding or spine, which has a coarse, woven fabric texture. The overall lighting is somewhat uneven, with the right side being brighter than the left, highlighting the texture of the fabric binding.

5884